DZIŚ I JUTRO

miesięcznik ilustrowany dla młodzieży

rok XII

numer drugi.

październik 1935

Na sezon zimowy

W robotach ręcznych króluje dziś szydełko. Szydełkują z zapałem kobiety każdego stanu i wieku. Staruszki i młodzież szkolna. W wielu wioskach rozwinęło się teraz szydełkarstwo, jako zarobek „chałupniczy". Gdyż zarobek głowy rodziny nie starczy tam często na najskromniejsze utrzymanie.

Cóż kiedy nowy ten przemysł nie ujęli w swe ręce Polacy ani Polki tylko żydzi. Oto dane statystyczne z województwa lubelskiego: W powiecie węgrowskim pracuje trzy tysiące szydełkarek, z czego 2.000, w samym Węgrowie, z których tylko 300, Polek. W Sokołowie szydełkarstwem zajmuje się trzysta kobiet a tylko 50 Polek. W miasteczku Mordy pracuje 1.000 szydełkarek, a w tem znów 400 Polek. — Cyfry mówią, a serce boli... Czytajmy dalej:

Pracodawcami szydełkarek są kupcy lub agenci żydowscy, pośredniczący między chałupnikami i warszawskimi hurtownikami. Zarobki są niesłychanie niskie. Szydełkarka, pracując około 12 godzin, nie zarabia więcej, jak złotówkę dziennie. Nawet ten niski zarobek jest tylko nominalny, gdyż redukowany przez wyzysk pracodawców. Szydełkarki opłacane są wekslami, lub też muszą czekać sześć tygodni na zapłatę. Niektórzy kupcy wynagradzają szydełkarki kartkami na towary, przyczem sklepy, do których kierowane są pracownice, mają ceny wyższe, od normalnych. Nędzarki w szponach hurtowników.

Nasuwa się jednak podejrzenie, iż ten szalony wyzysk odnosi się tylko do chrześcijanek. Inni, znani z solidarności, nie krzywdzą tak chyba swoich rodaczek. I otóż apel do waszych serc: Wy młodzieży nasza szkół średnich, która na ferje rozjedzie się po tysiącach wiosek i miasteczek polskich, by tam siać ziarno dobrych twórczych myśli i poczynań, posiadacie zapał, rzutkość, pomysłowość, inicjatywę. Palicie się do czynów obywatelskich. Straszna bieda nęka wioski nasze, a każdy zarobiony grosz ma dla ludu ogromną wartość. Organizacja tej pracy nie będzie zbyt trudna, gdy zwrócicie się o radę i pomoc do miejscowej nauczycielki, ziemianki i t. p. Omówcie szczegółowo całą akcję na waszych zebraniach już teraz, przed wakacjami i zastosujcie w tym wypadku hasło Niemek: „Pomyślane i zrobione".

Szydełkarstwo należy dziś do obowiązków szkolnych. Wybierzcie narazie kilka pracownic, postarajcie się o niedrogi materjał. (W większej ilości dostanie się taniej). Niech szydełkują najpierw rzeczy mniejsze, o łatwym ściegu, np. rękawice do mycia z grubej bawełny, czapki, szaliki, chusteczki, torebki, rękawiczki z grubej włóczki, i tak modne dziś kołnierzyki dla dzieci i dorosłych. Robota musi być jednak wykonana starannie i czysto.

A zbyt? Pierwsze tanie wyroby rozkupią dla idei koleżanki wasze i znajome. Gdy te roboty będą coraz lepsze, ładniejsze, przyjmie je w komis (może bezpłatnie) jakiś sklep w najbliższem miasteczku, lub w mieście.

Wszystko trzeba prowadzić buchalteryjnie w szczupłym narazie zakresie. Z końcem ferji powierzycie prowadzenie dalszej akcji (zimą szydełkarki mają więcej czasu), jeśli nie nauczycielce, to której ze starszych, uczciwych pracownic, lub organizacji młodzieży pracującej w terenie.

Jak owocną może być taka organizacja, czytamy w zajmującej broszurce „Krótki zarys rozwoju koronkarstwa europejskiego". Autorką jej jest p. Marja Modest-Dudrewiczowa, b. kierowniczka szkoły koronkarskiej w Zakopanem.

„Przed ostatnią wojną w całej byłej Galicji żydzi zorganizowali wyroby koronek iryjskich tak składnie, że przez 10 lat podczas panującej wówczas mody tych koronek w Europie, tysiące żydówek miało zarobek zapewniony. Z Wiednia przyjeżdżała instruktorka, uczyła po miasteczkach i wsiach techniki gipiur iryjskich, rozdawała wzory i bawełnę na wagę, a po kilku tygodniach inna instruktorka odbierała motywy gotowe i wypłacała zarobki. Za motywy płacono od 4—40 groszy. Waga ułatwiała obliczenie wyrobionego materjału. Należy jednak obliczać pewien procent na odcinki przy zaczynaniu i wykańczaniu motywów. W Wiedniu prano motywy, apretowano, układano w desenie, zarabiano tło w kołnierzach, torebkach, żabotach, a nawet całych bluzkach. Wyroby te wykończone wracały do nas z powrotem i zapełniały wystawy naszych sklepów". *Wisława.*

Od redakcji.

Jak daleko sięga wyzysk przedsiębiorców handlarzy niech tylko posłuży ten drobny szczegół: Na wsi skupują wełnę, płacą za nią 50 gr. za kilo. Następnie kupujący przerabiają ją na włóczkę i sprzedają w cenie 16-20 zł. Faktycznie przeróbka wymaga pewnych wkładów, ale czyż tak znacznych? Czyż to nie jest wyzysk?

Na ten wyzysk wy, młodzieży pełna zapału macie zaradzić. Trzeba w sobie rozpalić zmysł handlowo-przemysłowy. W tem nasza siła, jeśli gospodarczo nie damy się wyprzedzić obcym żywiołom.

BZIŚ I JUTRO

Pismo dla młodzieży.

Rok XII. Kraków, październik 1935. Nr. 2

Instytut Radowy w Warszawie

Na odległej od zgiełku stolicy, niezabudowanej jeszcze uliczce stoi niewielki kompleks budynków.

Architektura ich nowoczesna, o prostych szlachetnych linjach. Wielkie lustrzane okna zwrócone ku słońcu sprawiają wrażenie wesołe i ożywiają pustkę, która snuje się tu dokoła.

Na białej fasadzie prosty a wymowny napis:

— Instytut Radowy Im. Marji Curie Skłodowskiej.

Tam wewnątrz dokonuje się w skupieniu praca olbrzymia, twórcza a ofiarna.

Tam, w ciszy gabinetów, pracowni i laboratorjach toczy się wielka batalja z jednym z największych wrogów ludzkości z... rakiem.

Tam wre nieustanna walka o życie i zdrowie człowieka, walka o każdy milimetr żywego cierpiącego ciała ludzkiego, schwytanego w macki potwornego olbrzyma — raka.

Rak to straszna choroba, która rozpowszechnia się z przerażającą szybkością. W samej Polsce według ogólnych obliczeń żyje około 100 tysięcy chorych na niego i corocznie macki tego nowotwora zbierają okrutny plon w liczbie 30.000 zmarłych. W statystyce tej nie mieści się prawie wieś, gdzie rak czyni wielkie spustoszenia, ale tam umierają sobie na niego ludziska i zwykle nawet nie wiedzą co ich do grobu wpędza.

Jeszcze niedawno djagnoza: rak, bywała równoznaczna z wyrokiem śmierci.

Dopiero niedawne odkrycie przez Polkę Marję Curie-Skłodowską pierwiastka radu i zbadanie jego właściwości pozwoliło rzucić światu głos otuchy:

— Rak owa okropna choroba może być przy pomocy promieni radowych uleczona.

Instytut Radowy w Warszawie powołano do życia dzięki incjatywie Marji Curie-Skłodowskiej.

Instytut nazwany imieniem genjalnej rodaczki skromną jest podzięką wobec tej jaka jej się należy za inicjatywę stworzenia instytutu i hojną ofiarę grama radu, który mu dała.

Uroczystość otwarcia Instytutu radowego obchodziła nauka Polska dn. 29-go maja 1932 roku. W obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, p. Marji Curie-Skłodowskiej oraz licznych przedstawicieli poświęcono i oddano w Warszawie do użytku publicznego cztery wielkie gmachy mieszczące działy lecznicze, laboratoryjne i naukowe.

Społeczeństwo dobrze zrozumiało potrzebę założenia takiej placówki to też ofiary w kwocie przeszło dwóch miljonów zł. napłynęły szybko i powstał Instytut.

Nasz Instytut radowy jest wzorowany w swych urządzeniach i organizacji na najlepszych zakładach tego typu zagranicą.

Nietylko nie jesteśmy tutaj na szarym końcu Europy, ale zajmujemy jedno z przodujących miejsc pod tym względem. Jedynie Instytut Radowy w Paryżu może się pochlubić równie nowoczesnemi urządzeniami.

Rezultaty pracy Instytutu już dziś są zdumiewające. Rak bywa w setkach wypadków kompletnie uleczony. I tak np. na 900 osób, które w ubiegłym roku przyjęto do leczenia całkowicie uzdrowiono około 500 czyli przeszło połowę.

Zwiedzam Instytut Radowy oprowadzana przez dyr. Zakładu dr. Łukaszczyka, który



Główny gmach kliniczny.

niesłychanie uprzejmie udziela mi wszelkich objaśnień.

Odmian nowotworów o których zwykle mówi się popularnie »rak« istnieje bardzo wiele i nieledwie każdy wypadek wymaga swoistych metod leczenia. Każdy więc wypadek musi być badany osobno, aby nie prowadzić kuracji na ślepo.

Dotąd jeszcze absolutnie nie wiadomo co powoduje rozprzestrzenianie się tych chorób.

Nowotwory powstają wskutek gwałtownego i nienormalnego wzrostu komórek, które rozmnażając się niesłychanie szybko i »bezplanowo« wżerają się w ciało niszcząc tkanki zdrowe.

Energja promienista radu i promieni Roentgena powoduje obumieranie komórek nowotwora.

W niektórych wypadkach trzeba się również uciekać do zabiegu chirurgicznego.



Korytarz z pamiątkowemi cegiełkami ofiar a zł. 100.

Prace nasze w Instytucie Radowym idą w trzech kierunkach:

1) curietarpji, czyli leczenia promieniami radu,

2) röntgenoterapji głębokiej,

3) zabiegów chirurgicznych.

Najciekawszy dział Instytutu stanowi pawilon röntgenoterapji. Jest to jednopiętrowy budyneczek połączony krytym korytarzem z głównym gmachem.

W tym dziale zwraca przedewszystkiem uwagę pokój djagnostyczny z olbrzymim szalenie precyzyjnym aparatem do zdjęć w potrzebnej do badania pozycji.

Drugą część pawilonu stanowi 5 kabin, w których umieszczone są aparaty do na-



Przychodnie badania.

świetlań. Wielkie lampy o olbrzymiej sile wydzielają t. zw. »twarde promienie«.

Uzyskanie »twardych promieni« w lampie Röntgena uzależnione jest od napięcia, które dopiero przy wartościach z górą dwóch miljonów wolt daje falę, podobną radowej.

Przy leczeniu temi promieniami ważną sprawą jest zabezpieczenie personelu jak i zdrowych części ciała chorego przed ich wpływem. W tym celu w czasie naświetlania personel lekarski pozostaje nazewnątrz kabiny i obserwuje chorego przez szerokie okno ze szkła ołowianego.

Ściany kabiny są wykładane blachą ołowianą i jest takie urządzenie, że prąd automatycznie z otwarciem drzwi się wyłącza.

Chorego z wyjątkiem miejsca, gdzie skierowany jest strumień promieni Röntgena okłada się blachami ołowianemi lub arku-

szami gumy ołowianej, co w zupełności daje gwarancję ochrony.

W pawilonie tym dokonuje się w ciągu roku przeszło 6 tys. naświetleń o łącznym czasie kilku tysięcy godzin.

Na pierwszem piętrze mieści się pokój, w którym przechowuje się skarb największy 1 gram radu — maleńka szczypta wartości 60.000 dolarów, a właściwie bezcenna, bo może uleczyć tysiące ludzi.

Rad ów jest rozłożony na 165 nierównych cząstek, pomieszczonych w tubkach i igłach platynowych różnego kształtu, co pozwala na dowolne dawkowanie radu i równomierne rozmieszczenie źródeł promieniowania.

Wszystkie tubki ukryte są w czterech maleńkich szkatułkach, których ścianki wyłożone są grubą warstwą ołowiu dla zapobiegania promieniowaniu. Rad się prawie nie zużywa obliczono, że za 1600 lat ubędzie go zaledwie połowa. Oddział chirurgiczny rozporządza salą operacyjną, salą opatrunkową i pokojem dla sterylizacji.



Pracownia histopatologiczna.

Poza zwykłemi urządzeniami chirurgicznemi Instytut jest bogato wyposażony w aparaty do elektrotonji i elektrokoagulacji. Znajduje się tam bardzo wiele niesłychanie ciekawych urządzeń np. t. zw. »nóż djametryczny«, zapomocą którego przeprowadza się bardzo subtelne cięcie samym prądem elektrycznym, nie dotykając tkanek nożem, co chroni od zaszczepiania zarazków tkankom zdrowym.

Instytut jest jednostką zupełnie samowystarczalną t. zn., że utrzymuje się z opłat pobieranych od chorych.



M. Curie Skłodowska dłuta Nitschowej.

Mimo, że opłaty skalkulowane są możliwie najniżej, bardzo wielu chorych nie jest w możności ich uiszczać.

Zachodzi konieczność stworzenia jakiegoś funduszu, przy pomocy którego możnaby leczyć tych, którzy płacić nie są w stanie, bo przecie ci, którym się pozwoli odejść — skazani są na pewną śmierć nierzadko w potwornych cierpieniach.

Marzenna Sarjusz-Stokowska.



Röentgenistki przy pracy.

VI. Zjazd Historyków polskich

VI. Powszechny Zjazd Historyków polskich odbył się w połowie września r. b. w Wilnie pod protektoratem p. Ministra W. R. i O. P., prezesem zjazdu był znakomity historyk ustroju Polski, prof. Kutrzeba.

Podobne zjazdy odbywają się co 5 lat. Poprzedni (w r. 1930) miał miejsce w Warszawie w związku ze 100-leciem Powstania Listop., następny będzie we Lwowie za pięć lat, w 600 rocznicę przyłączenia Ziemi Czerwieńskiej do Polski przez Kazimierza Wielkiego.



Uczestnicy zjazdu i goście Min. W. Jędrzejewicz. Marszałek senatu Prystor w I. rzędzie, J. E. Arcybiskup Jałbrzykowski, J. E. Bp. Michalkiewicz, Gen. Żeligowski (w głębi).

Na zjazd taki przybywają historycy z całej Polski. W Wilnie było ich kilkuset, ale tylko nieliczni wygłaszają referaty (odczyty), nad któremi toczy się wymiana zdań uczonych.

Obrady toczyły się w ośmiu sekcjach:

W referatach poruszono następujące kwestje:

1. historja polityczna, 2. historja prawa, 3. histoja społeczna i gospodarcza, 4. historja kultury, 5. historja wojskowości, 6. nauk historji pomocniczych, 7. historji starożytnej, 8. nauczanie historji.

Wynikiem zjazdu były następujące uchwały: Utworzenia katedry historji starożytnej we wszystkich uniwersytetach; podjęcie badań nad ludnością dawnej RP. Polskiej i nad wielką własnością; odzyskanie od Rosji archiwów W. Księstwa Litewskiego (Metryka Litewska), kontynuacja wydawnictw źródłowych do dziejów Polski i Litwy, utworzenie katedry historji kultury i historji Chrystjanizmu.

Żywem zainteresowaniem cieszyły się referaty z dziejów Litwy i jej unji z Koroną. (Zajączkowski, Halecki, Konopczyński, Kutrzeba i inni); polemikę wywołał p. Górka swym »Optymizmem a pesymizmem w historjografji polskiej«. Obszernie i wnikliwie omawiano unję kościelną (Halecki i Tomkiewicz) oraz reformację w w. ks. litewskiem. Starożytnicy zgłębiali przyczyny upadku świata starożytnego oraz istotę i znaczenie dziejowe dyktatury i cezaryzmu (K. Zakrzewski, Piotrowicz, Wałek, Zmigryder, w dyskusji Popławski i wicemin. Chyliński). Sekcja nauczania historji omawiała program i cele nauczania w liceum oraz zagadnienie regjonalizmu w nauczaniu w szkole średniej.

Trwałym śladem każdego zjazdu naukowego jest drukowany »Pamiętnik«, zawierający owe referaty i dyskusje z ich powodu.

Są to zwykle grube tomy, istne niedźwiedzie bibljoteczne, ale bo też wiele głów składa się na ich treść bogatą.

Nie same wszakże obrady czas zjazdowy wypełniają; wiele godzin poświęca się wycieczkom, zwiedzaniu zabytków i wreszcie

rozrywkom i przyjęciom, których nie szczędzą gościnni gospodarze.

Tak właśnie było teraz w Wilnie. Zjazdowicze zwiedzili to stare, pełne tradycyj filareckich, miasto, jego bliższe i dalsze okolice, udali się do Trok, gdzie na wyspie jeziora są slynne ruiny zamku z czasów Jagiełły i Witolda. Gościnności doznano wielkiej, ze strony rektora i senatu Uniwer. S. Batorego, w którym też toczyły się obrady zjazdu, oraz u p. wojewody wileńskiego i zarządu miasta.

Wśród zabytków podziwiano najpiękniejszy kościół barokowy w Polsce św. Piotra i Pawła na Antokolu (druga połowa XVII w.), o wiele odeń starszy kościół późno - gotycki św. Anny, co ongi wzbudził podziw Napoleona; oglądano pyszną panoramę miasta z góry zamkowej (gdzie obecnie restaurują ruiny zamkowego ongiś kościoła św. Marcina, pono najstarszego w Wilnie), zaglądano do katedry, którą wielkim sił i kosztów nakładem zabezpiecza się teraz od ruiny i gdzie widzieć można trumny króla Aleksandra Jag. oraz żon Zygmunta Augusta: królowych Elżbiety i Barbary Radziwiłłówny. W skarbcu katedry obejrzeć można nader ciekawe korony i berła w trumnach znalezione oraz drobniejsze klejnoty. Zjazd został zakończony w Grodnie, gdzie zwiedzano m. in. ciekawe wykopaliska pradawnego zamku (grodziska).

B.

Blizna serdeczna

Oto stoję nad otwartą mogiłą na wiejskim cmentarzu, z oczyma nieruchomo utkwionemi na białym skrawku welonu, wysuniętym z pod wieka zamkniętej trumny.

Chowam jedyną przyjaciółkę moich wiosennych lat: Zosię Orkanównę Smreczyńską, córkę wielkiego Poety i najwierniejszego Syna Ludu: Władysława Orkana.

— — — — — — — — —

Leżą przede mną białe kartki zapisane prostem, szczerem pismem. Jej wiersze.

Czytam je kolejno i z każdej z nich, jak z taśmy filmowej patrzy na mnie piękna twarzyczka, o coraz to innym wyrazie, zależnie od nastroju jej duszy, w jakim pisany był dany wiersz.

Oto roześmiana na sali balowej:

»O tańczyć, tańczyć — o płynąć, płynąć,
po tej zalanej blaskami sali —
w śnie się zachwytu dusza zatraca
i serce żarem szczęścia się pali«.

Miłości się lęka:

»Daremnie uciekam, napróżno się bronię,
i dumy puklerzem daremnie pierś słonię strwo-
/żona«.

Ale gdy już *»wkradłeś się w świat mych /marzeń«* — to

»Chciałabym z Tobą poszedłszy w zaświaty
wtulić się w ciszę białej jasnej chaty —
i wszystkie słońcu zabrawszy uśmiechy —
rozświetlić niemi szarość niskiej strzechy...
...I zapomniawszy czem wpierw było życie
roztopić duszę w słonecznym błękicie —
wić z nieskończonej Kądzieli Wieczności
nić promienistą Wiary i Miłości«.

Ale oto przychodzi śmiertelna choroba — rak wątroby — i mgłą cierpienia przesłania cały urok życia:

»O Smutku! Twoje dłonie chłodne, jak mogiła,
gdy zamykasz w nich serce rozgorzałe w męce
i uciszasz krew żalem rozgorzałą w żyłach,
na umęczone skronie ciche kładąc ręce —
serce na sen wieczysty spokój ich kołysze —
O Smutku! jakże kocham dłoni Twoich
/ciszę...!!!«

W cierpieniu jasno rysuje się przeczucie śmierci:

»A gdy umrę to nie mówcie: młoda była
/szkoda jej,
ale mówcie: o szczęśliwa uniknęła doli złej!
bo mi dola czarnym krzyżem naznaczyła każ-
/dą z dróg —
a gdy umrę to pomyślcie, że cierpienia koi
Bóg...!!!«

Leżąc na łóżku szpitalnem, złamana długą chorobą, patrzy przez okno:

»Tam... świat, — tam życie...
gdzieś na dnie duszy skrycie
przyczaił się polip tęsknoty:
w świat, w świat — do ludzi!

Niech się choć chwilę serce łudzi,
że jutro spojrzy w złoty blask słońca«.

Miała też takie pragnienie:

»Chciałabym umrzeć w samo południe,
żeby mi słońce świeciło cudnie
i, żeby jasną mi była droga —
z tej smutnej ziemi aż — hen — do Boga!!«

— — — — — — — — —

Umarła południową porą, w jasny słoneczny dzień, 3 czerwca 1930 r. licząc lat 21.

Do ostatniej chwili nie wiedziała nic o śmierci swego Ojca, który umarł w maju tegoż roku.

Gdy całe Podhale, a z niem Polska, szły za trumną Drogiego Gazdy, — jedyna, umiłowana córka Poety ciągle czekała na jego przybycie, bo powiedziano jej, że pojechał do Warszawy, po nagrodę i dlatego jej nie odwiedza.

Najbliżsi ukryli przed nią śmierć Orkana, bo miała już zbyt słabe serce, aby mogło znieść taki cios.

— — — — — — — — —

W kilka dni później, na cmentarzu w Niedzwiedziu, stałam poprostu niema.

»Większy ból targa pierś,
gdy milczą usta —
nie wierz im...
Pusta
Łez urna brylantowa...
Ach one dławią, jak pożaru dym,
Te łzy niewypłakane, te umarłe słowa —
Nie wierz gdy nie mówią usta —
nie wierz im...«

I jakżeż często dziś myślę —

»Duchu, czemże Ty jesteś? — jaka Twa postać? — czy jesteś mglistym kształtem człowieka? — czy iskrą niewidzialnego światła? — czy niedostrzegalnym płomieniem?

Czy Ty nie mając serca czujesz? nie mając mózgu myślisz? Ty — dziwna siło — która każesz nam myśleć, czuć i czynić.

Któż Cię odgadnie — Duchu!?« —

Aleksandra Pawłowska Buszkowa
Zakopane.

WIELKI DAR

Pisałam kiedyś w »Dziś i jutro«, jak trudno jest ocenić istotną wielkość pisarzy współczesnych i że często na tem polu zachodzą pomyłki, bo nieraz pisarze najwięksi są przez ich pokolenie niedocenieni. Naodwrót, nieraz miernoty zyskują sławę i poklask. Ale w tej pewnej nieufności, a raczej ostrożności, z jaką musimy wypowiadać sądy o pisarzach współczesnych, są jednak punkty stałe i pewne. Istnieją pewne znamiona talentu i wielkości, które mylić nie mogą i nie mylą. Są pisarze, co do których pewni być możemy, że ani moda, ani żadna szkoła, ani przedewszystkiem czas — wartości ich nie zmienią. Takim pisarzem, który już dziś zdobył powszechne uznanie i podziw, a który na pewne wytrzyma próbę czasu jest **Marja Dąbrowska**.

Niema chyba człowieka, któremu obcem byłoby to nazwisko. Każdy zna w całości lub części jej epopeję »Noce i dnie«, wielu czytało jej nowele, lub opowiadania dla młodzieży (jak Przyjaźń, Marcin Kozera i t. d.) Powszechnie znany jest śliczny »Uśmiech dzieciństwa« i wspomnienia z podróży p. t. »U północnych sąsiadów«, prawie każdy spotykał się z jej artykułami, traktującemi o kwestjach literackich, bądź społecznych.

Niema tu więc potrzeby ustalać jakiejś bibljografji i rozbierać dzieł poszczególnych, ani potrzeby ściśle rozgraniczać co jest dla młodzieży a co dla dorosłych. Gdy wielki autor pisze dla młodzieży, też książki »dla dzieci« czyta z rozkoszą i dorosły. W tym artykule chciałam jedynie podkreślić na czem polega i jakiego jest rodzaju wielki talent tej pisarki, i co sprawia, że Marja Dąbrowska jest dzisiaj — mojem przynajmniej zdaniem — największym polskim pisarzem, jednym z najgłębszych umysłów, najszlachetniejszych i najsympatyczniejszych postaci naszego literackiego Parnasu.

Gdy się mówi o pisarzu, na pierwszy plan wysuwa się oczywiście kwestja talentu, tego daru tajemniczego, który sprawia, że człowiek nim obdarzony ma w ręku talizman,

zmieniający rzeczy i obrazy najprostsze na dzieła sztuki. Słowa przez wszystkich używane nabierają nagle pod jego piórem harmonji, barwy, życia i wyrazistości niezwykłej. Patrząc na to na co patrzymy wszyscy, widzi i to i jeszcze o wiele więcej. Gdy czytamy książki Dąbrowskiej, doznajemy więcej niż przy jakimkolwiek autorze, tego wrażenia przedziwnej tajemniczości i czarodziejskości talentu, doznajemy go czasem aż do zabobonnej trwogi.

Bo cóż tu czytamy? Czytamy o rzeczach najprostszych, o ludziach najzwyklejszych, o takich jakich mamy pełno dokokoła siebie: o pani domu zatroskanej i skłopotanej, o rządcy zaharowanym w pracy na roli, o kupcu żydku, o fornalach, o grzecznych i niegrzecznych dzieciach chodzących do szkoły i wracających na wakacje. Niema tu właściwie żadnych bohaterów, to wszystko ludzie zwykli, pospolici, przeciętni, ani wyjątkowo mądrzy, ani dobrzy, ani nawet źli. Ot tacy sobie.

Żadnych tu wielkich słów, malowniczych obrazów. Zdania proste i ciche toczą się jedno za drugiem taksamo szare i nieefektowne, jak i życie ludzkie, które mają odtwarzać.

Jednak po przeczytaniu paru już kart takiej najzwyklejszej w świecie opowieści, wiemy, że czytamy książkę niezwykłą. Rozumiemy, że jest w nich to tajemnicze «coś», które odrazu bierze, czaruje i przykuwa.

Ci zwykli prości ludzie stają się nam dziwnie bliscy. To już nie ludzie, o których czytamy, to ludzie których znamy, z niemi żyjemy, ich radości nas cieszą a zmartwienia bolą. Wychodzą niejako z kart książek a wchodzą w nasze życie i już pozostają. W różnych sprawach i okolicznościach życia będziemy sobie myśleli: temby się martwiła Barbara, tak a tak myślałby o tem Bogumił, o tak właśnie bawiłby się Piotruś lub Agnisia. Miejsca, które nam Dąbrowska opisuje, są tak nam znane, jakbyśmy w nich część życia spędzili.

Aby choć po części wyjaśnić to co chcę powiedzieć, dam przykład z przeżyć własnych: Odczytując nowele Dąbrowskiej spotkałam w jednej z nich opis wyjazdu do miasta starą, wielką karetą, rozklekotaną i staromodną. Nic prostszego i rzecz zdawałaby się mało wzruszająca, a ta właśnie stara kareta dziwnie mnie poruszyła. Gdzie taką właśnie widziałam? Co ona mi przypomina? I nagle uprzytomniłam sobie, że taką właśnie karetą — na pewno nawet tą samą — jeździli zawsze do Kalińca Niechcicowie. [1] Może kiedyś doznałyście podobnego uczucia, gdy wśród starych rupieci znalazła się jakaś zabawka z waszych lat najmłodszych, jakiś przedmiot, który przypomniał wam osoby bliskie i drogie, chwile wyjątkowo radosne czy bolesne? Wtedy napewno wzruszyłyście się na chwilę i rozmarzyły. Tak właśnie, w podobny sposób wzruszyła mnie ta kareta, którą znałam przecież tylko z książki. Ale spostrzegłam, że wzrusza mnie tak, jakby przypominała mi najważniejsze chwile mego życia. Czego to dowodzi? Że wzruszenia, których doznawałam przy czytaniu «Nocy i dni» były silniejsze nawet niż przypuszczałam, że zapadły mi głęboko w duszę, że weszły w moje życie i że po części ta historja Niechciców stała się historją moją, którą przeżyłam intenzywnie i że ona stała się częścią moich wspomnień i przeżyć osobistych.

Dlaczego ta właśnie a nie tyle innych czytanych książek tak głęboko we mnie wrosła? To już tajemnica Dąbrowskiej. Widocznie mocą swego talentu potrafiła nadać tak intenzywne życie swoim postaciom, a nawet rzeczom, że przestały one już być rzeczami opisywanymi, a stały się rzeczami prawdziwemi.

Ta to właśnie jakaś ogromna prawda bije z wszystkich dzieł Marji Dąbrowskiej. Tu już nie zastanawiamy się, jak przy tylu innych książkach, czy opisy są prawdopodobne, jesteśmy zupełnie pewni, że są prawdziwe, choćby nieprawdopodobnie wyglądało.

I o ile mi wiadomo, to ta przekonywująca prawda książek Dąbrowskiej nie jest tylko literackiem złudzeniem: Dąbrowska pisze najczęściej »z natury«. Wszystkie opisywane w jej książkach miejsca, miasta, domy, ogrody, były właśnie takie a nie inne. Ludzie Dąbrowskiej, ci ludzie tak żywi i prawdziwi, to wszystko ludzie tacy, jacy byli, jakich autorka poznała, jakich przejrzała aż do naj-

---

[1]) Bohaterowie cyklu „Dni i noce".

głębszych tajników duszy, przenikliwem spojrzeniem artystki. I tu właśnie uchyla się przed nami rąbek tajemnicy jej talentu: Dąbrowska patrząc na otaczające ją rzeczy i ludzi, swem badawczem okiem, umie dojrzeć w nich każdy najdrobniejszy szczegół, drobną a charakterystyczną rysę, których często nie umieliśmy dojrzeć, nie mając właśnie tego daru odkrywczego. Ale gdy potem te wszystkie szczegóły, z których się składa znana nam całość odnajdujemy w jej opisie, rozumiemy nagle, że widzieliśmy je zawsze, choć nie wiedzieliśmy o tem. Ludzie i rzeczy stają przed nami jak żywe, bliższe i zrozumialsze niż były w rzeczywistości, poznajemy bowiem ludzi i fakty jakby w ich samej istocie, docieramy do ich jądra.

I idąc za tą nitką przewodnią spostrzegamy jakby drugi klucz do zrozumienia tajemnicy jej talentu i uroku fascynującego jej książek. Prawda o świecie, życiu i człowieku jest tylko jedna. Gdzieś, na pewnej głębinie, zanikają pozorne rożnice dzielące ludzi i przejawy życia, i docieramy do tego, co stanowi istotę radości i cierpienia, walki i tęsknot człowieka, do najgłębszych pokładów własnej duszy i życia.

Znowu muszę uciec się do przykładu. Każdy z nas zna to nieokreślone wzruszenie, które go ogarnia na widok pięknego zachodu słońca, inne, pod wigilijną choinką, i to jeszcze inne, płynące ku niemu z pierwszego dnia wiosny lub z pełnego melancholji odjazdu z domu; każdy zna tę gamę wzruszeń i odczuć, jakimi pulsują w rytmie radości i smutku jego »dnie i noce«. Na te wszystkie przez nas przeżywane wzruszenia i wrażenia patrzymy znowu w książce Dąbrowskiej. Patrząc jej wszystko rozumiejącem okiem nagle zaczynamy lepiej rozumieć ten uczuciowy nurt naszego życia, zaczynamy to życie rozumieć od wewnątrz. Patrząc w duszę Bogumiła i Barbary, poznając ich myśli, odczucia i odruchy spostrzegamy, że patrzymy w dusze i życia własne. Cała objektywna i epicka prawda jej książki staje się naszą własną prawdą, życie tych ludzi objawia się nam jakby sens istotny życia i świata. Zaczynamy lepiej rozumieć jego zawiłe spoidła, a także naszą rolę w tym płynącym rytmie dni i nocy świata.

Zaczynając lepiej rozumieć, zaczynamy żywiej czuć, szlachetniej kochać, to co kochania warte, czego może dotąd w pośpiechu i rozgwarze dnia codziennego dostrzedz nie umieliśmy. Dopiero gdy uprzytomnimy sobie ile wewnętrznego światła, prawdy, ciepła wniosły w nasze serce i życie te pozornie chłodne i proste książki — zaczynamiy rozumieć, że tkwi w nich prawdziwa wielkość i siła.

Ma się wrażenie, że umysł i dusza Dąbrowskiej są zrobione z tego samego materjału co i jej talent: **szlachetna prostota, wielka głębokość i rzetelność** oto charakterystyczne jej cechy. Ma się jasne odczucie, że Dąbrowska pisze zawsze tylko to, co przemyślała i odczuła. Tak często pisarzy na manowce wodzące pokusy efektu i błyskotliwości, nie odwiodły jej od uczciwego szukania prawdy tkwiącej w życiu i w człowieku. Tej prawdy szuka w największem skupieniu, często boleśnie, zawsze głęboko. Ma się wrażenie, że szuka nietylko tego, czem jest życie i człowiek; ale i tego, czem być powinien, chcąc w pełni odpowiedzieć swej ludzkiej godności.

Aby zrozumieć ten wysoki ton twórczości Dąbrowskiej, trzeba czytać ją w pewnem skupieniu. Nigdzie, w żadnej jej powieści ani noweli, nie znajdzie czytelnik t. zw. budującego przykładu, żadnej nauki, ani praktycznych wskazówek, a mimo to z każdej linji wznosi się tęsknota za życiem wyższem, szlachetniejszem, za człowiekiem doskonalszym, i współczucie z człowiekiem cierpiącym. Wznosi się wołanie o usunięcie z życia krzywdy i niesprawiedliwości. Ukazując nam istotny sens życia człowieka, jego potrzeby, pragnienia i aspiracje, pozwala każdemu zastanawiać się nad jego własną prawdą, nad słusznym lub niesłusznym stosunkiem do otoczenia i życia. Jakim ten stosunek ma być, nie jej rzeczą nam mówić: każdemu odpowie sumienie. Dąbrowska, jak każdy wielki artysta, wnosi w mroczne zakamarki życia i dusz naszych lampę gorejącą, naszą rzeczą jest przy świetle tej lampy prawdę odczytywać i jej uczyć.

Że tak właśnie pojmuje Dąbrowska misję i rolę pisarza, a zatem rolę swoją — to nietylko z tekstu jej dzieł wyczytać można:

mówi nam o tem, jak zawsze z przedziwną prostotą w swoich artykułach i odczytach. W bolesnej zadumie zapytuje dlaczego tyle jeszcze na świecie zła, krzywdy i zbrodni, kiedy tyle piękności sztuka w świat rzuciła, dlaczego jakby w próżnię wołają głosy tylu wielkich, szlachetnych ludzi, dlaczego tyle wzniosłych aspiracyj, górnych myśli wśród nas, nie potrafiły serca człowieka przemienić i uszlachetnić?

Wzruszające jest to wyznanie pisarza, który boi się, czy praca i wysiłek jego życia nie poszły na marne, bo za zmarnowany wysiłek uważa Dąbrowska to, co nie przyczyniło się do uszlachetnienia człowieka, do ulepszenia życia na ziemi. A jednak czuje i rozumie, że to co dają pisarze światu — to jest dar wielki i wspaniały.

Dzieło Dąbrowskiej jest darem wspaniałym. Naszą rzeczą jest ten dar wziąć i czerpać z niego to, co nie tylko zdobić będzie nasze życie najszlachetniejszą radością, radością sztuki, ale które niewątpliwie stać się może dla nas »doniosłą pomocą« w dążeniu do poznania prawdy o nas i naszem życiu, w dążeniu do uszlachetnienia naszych serc, do napełnienia ich miłością i litością dla ludzkiej niedoli i cierpienia. Tak czytając Dzieło Dąbrowskiej, czytać je będziemy w duchu, w którym było pisane.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Cześć Najwyższemu Królowi

Słowa prefacji na święto Chrystusa Króla określają ideę Królestwa Bożego na ziemi, jako Królewstwo prawdy i życia, świętości i łaski, sprawiedliwości, miłości i spokoju.— »Jezus Chrystus jest Królem w świecie dusz, — jako słońce królem w świecie światła«.

Społeczeństwo katolickie chcąc urzeczywistnić ten ideał Bożego królestwa — musi dawać świadectwo prawdzie, wyznając ją czynem, trwać przy wierze, mieć odwagę przekonać — bronić jej zawsze wszędzie. Słowa widniejące na bramie wawelskiego zamku: »Jeżeli Bóg z nami — któż przeciw nam« niechaj i w odrodzonej Polsce będą hasłem na sztandarach i w sercach naszych.

Bronimy się przed prądami laicyzacji — rozluźnieniem obyczajów, pesymizmem, który coraz szersze zatacza kręgi szczególnie wobec trudnych warunków gospodarczych w chwili obecnej.—»Ufajcie—jam zwyciężył świat«. — i my zwyciężymy — mocą Chrystusa Króla—Boga—Człowieka—Odkupiciela.

Celem naszego życia winno być utrwalenie Królestwa Chrystusowego w miłości i pokoju. On »Królem zjednoczenia serc i źródłem łask wszelkich«, pośrednikiem między ludźmi, a Ojcem niebieskim.

Rycerzami nam być trzeba — apostołami gorliwymi — co zdziałać można przy wyrobieniu wewnętrznem, dobrej organizacji — i wytrwałej pracy — dowodem rezultaty akcji katolickiej u nas, jak i w innych krajach, gdzie duch katolicki szerzy się coraz więcej.

Do kobiet nalcży przedewszystkiem wielkie zadanie pomocy — one powinny stać na straży ognisk domowych — jakie kobiety, takie społeczeństwo — Przywrócenie godności kobiecie oto jedno z haseł obecnej akcji katolickiej i u nas w Polsce.

Młodzież polska ma być silna wiarą, potężna czynną miłością Boga i bliźniego, a także dzielna tężyzną woli i czynu.

Religja dodatkiem być nie może, ale treścią podstawową życia — niech młode dusze będą nią przepojone, aby stała się ich konieczną potrzebą. Kobieta jest tą cegiełką społeczną której wartość decyduje o wytrzymałości gmachu — niech ożyje w nas tradycja kobiet, prowadzących pokolenia ofiarną drogą wielkich ideałów ku wielkim celom. Idźmy na zew z Chrystusem śmiało w życie, a Jutro Ojczyzny od nas zależeć będzie.

Marja Stecowa.

Upragnione spotkanie

Są różne spotkania w życiu. Bywają i takie, których niepodobna określić zwykłem słowem: »spotkanie«. Są to narodziny wielkiej idei.

Idea ta, poczęta w dniu tragicznym maja, wydrążyła głębokie źródło natchnienia. Tryskało ono za każdem uderzeniem serca, którego bicie potężniało pod jękiem Zygmunta w chwili, gdy wchłaniał w siebie Wielkiego Ducha. Zawiele — zawiele było tych uderzeń przy rozwarciu podwoi Krypty św. Leonarda. — Słowa skrzepły — niepodobna było przemówić w tak dławiącej ciszy.

Skargi uczuć skamieniały — tęsknota za spotkaniem Wodza rosła: spojrzeć poraz pierwszy i ostatni zbliska!

Wbić źrenice w szlachetność rysów, wyczytać ostatnie »Credo« zamknięte w zwarciu ust, wyczuć tchnienie rozlane przy spotkaniu na granicy wieczności... i wówczas przemówić.

— — — — — — — — —

Była cisza ogromna, gdy zstąpiłam do krypty św. Leonarda z moją towarzyszką.

Byłyśmy same wśród tylu Potęg przeszłości. Przytłumione światło witrażowej lampy odbijało się refleksem na szybie, z poza której bił Majestat tak niedalekiej rzeczywistości...

Powietrze zdławiło płuca — serce straciło rytm. —

Jakaś Prawda nieznana rozwarła oczy tak szeroko, że w źrenicach jej utonęło wszystko...

Miałam modlić się, mówić z Marszałkiem!... i nic?

Modlitwa? rozmowa? czy wpatrywanie się w minioną wielkość?

Nic i wszystko razem.

Świeża karta historji była tak wymowną, że nie trzeba było wysiłku myślowego. Prawdy wielkie tłoczyły się do mózgu — rozpierały go.

Żadnego niepokoju, trwogi, zapytania. Same pewniki, jasność i taki słodki spokój. Zda się, że wczoraj, że dziś przed minutą spadł jakiś ogromny głaz z bark Wodza. Postawa wypoczynkowa mówi, że mu nic nie dolega.

Usta — niegdyś donośne i gromkie — z zadowoleniem milczą zwarciem stokroć wymowniejszem, niż huk armat wojny światowej.

Trudno wypowiedzieć, jak szlachetnie spływać musiało do wieczności ostatnie uczucie tego Mocnego Człowieka, skoro w takich linjach uwieczniło swój wyraz. Ten srogi Pogromca woła do siebie, przykuwa...

Zapomina się o wszystkiem, krypta królewska zda się ciepłem mieszkaniem, w którem się j-e-s-t.

On zawsze był bliskim dla bezbronnych, dla najmniejszych dzieci i teraz jest sobą.

Tyle snów pełnych naiwnej poufałości, wykrzykników radosnych: »Nareszcie jesteśmy sami, bez kontroli, powiem Ci wszystko Dziadku...« w krypcie, gdyś nietylko nie zmalał Wodzu, ale spotężniał siłą wieczności.

Wolno ci teraz o wszystkiem mówić, wolno mówić tak, byś Ty jeden tylko słyszał — nikt więcej!

Opanował mnie dziwny pośpiech.

Ale od czego zacząć? Wszak tyle fala życia naniosła potrzeb, niepewności, trwóg o jutro, a tu — wszystko znikło!

Co za dziwne spotkanie burzliwego niepokoju z wieczystym pokojem.

Taka pewność, taka moc ogarnia duszę w miejscu, gdzie się rodzi wiara w Świętych Obcowanie.

Światełko przygasło, trumny znikły, kolumny krypty rozpłynęły się we mgle — dla zmysłów nic nie pozostało. Bezkresna wieczność pochłonęła wszystko.

Tyle czasu upłynęło i nikt i nic nie przerywa wielkiej, mistycznej ciszy. — Wódz przewidział tę ciszę tak bardzo potrzebną dla ukojenia dusz wielu, a może całego narodu.

— — — — — — — — —

Czas powstać. Oto drzwi katedry rozwarły się — echo odbiło się o strop sklepienia katedry, skupiona postać oficera wyprostowała się przed swoim Wodzem.

Ta straż honorowa, zwykle pierwsza przed tłumem — a teraz? o dziwo! Czy widzenie? Nie! tylko straż inna, serdeczna, modli się w krypcie.

Oficer rzucił okiem na skuloną postać i sam pogrążył się w skupieniu, bo czuł, że tak być musi. Za nim poczęły napływać tłumy do krypty i obchodzić trumnę Wodza we wskazanym kierunku.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Rozmodlona straż po stronie prawej postawą klęczącą sugestjonuje tłumy: padają na kolana strojne panie, oficerowie, generałowie, małe dzieci, wszyscy się modlą, bo język milknie, wszyscy czują jedno, bo istnieje tu mowa jedna, mowa dusz wyzwolonych.

Oto cudowna tajemnica Człowieka, który wyzwolił nietylko ciała nasze z niewoli, ale tajemniczą mocą, daną mu przez Stwórcę, jednoczy naród, spala serca w jeden wielki donośny dzwon miłości.

Czyż dla tej jednej Idei nie warto do krypty zdążać? Wobec majestatu śmierci wielkiego geniusza,jest wielkie spotkanie Prawdy, która nie rozprasza, co zespolone, a zespala, co rozproszone.

— — — — — — — — —

Tłumy wciąż płyną i otaczają wieńcem przybytek swego Wodza; wszyscy wpatrują się w oblicze drogie. Czytają z tej księgi żywej wielcy i mali, bliscy i dalecy — a mimochodem rzucają ciekawe spojrzenie na skromną skrzyneczkę góralską u stóp trumny.

Skrzyneczka zabłąkała się do krypty ze swoją właścicielką celowo, by mogła poleżeć u stóp dobrego Ojca za to, że kochał góralską ziemię. Za chwilę powędruje ta garść ziemi wysoko aż na Sowiniec i spocznie na samym szczycie kopca, złączy się z ziemią wszystkich zakątków Ojczyzny, wreszcie zesklepi się w jedną wielką całość pod bryłą marmurowego orła. Na ten pomnik zjednoczenia pracują wszyscy. Tam niema panów i dziadów, niema wyższości i poniżenia, każdy z radością napełnia swe taczki i zdąża tam, dokąd go pcha S i ł a M i ł o ś c i.

I. S.



Każdy z radością napełnia swe taczki i zdąża tam, dokąd go pcha siła Miłości.

Poświęcenie sztandaru Lubelskiej Drużyny Harcerskiej.

Obudziłam się o 6-tej rano. Z drżącem sercem otworzyłam oczy.

Jaka tam pogoda? Czy czasem deszcz nie pada? Pełna niepokoju biegnę do okna... i widzę cudne wschodzące słońce. Opanowała mnie dzika radość... miałam ochotę obudzić całą sypialnię. Lecz w ostatniej chwili powstrzymała mnie obawa przed zemstą, którą mi groziły dzbanki pełne zimnej wody. — Mogło to się skończyć bardzo przykro. Po chwili słyszę cichy szept jednej z druhen: „śpicie jeszcze? patrzcie jak cudnie". Nagle ruch się zrobił w całej sypialni. Wszystkie harcerki biegają, kompletują swoje umundurowania. „Cywile" klną pocichu, a bezskutecznie: „nawet w niedzielę nie dadzą się wyspać".

O 9 zbiórka, śpiewy: „Nie możemy się zbłaźnić" — „Serca zaczynają mocniej bić" — według słów piosenki.

Nad naszemi głowami rozwija się wspaniały sztandar. Z jednej strony widnieje Orzeł biały i Matka Boska Częstochowska, a z drugiej nasz Krzyż Harcerski okolony wieńcem laurowym i dębowym — symbol siły i chwały.

Było tyle wrażeń, że trudno wszystko opisać. Marsz do katedry, potem Msza św. ks. Biskupa w obecności przedstawicieli władz miejscowych,



Uroczystość wręczenia sztandaru.

podniosłe kazanie Jego Ekscelencji, w którem podkreślił symboliczne znaczenie sztandaru i nasze względem niego obowiązki.

Triumfalny pochód do domu w towarzystwie 4 orkiestr, wśród radosnych okrzyków, wznoszonych na naszą cześć przez druhów.

Wchodzimy na arenę szkolną schodami, ozdobionemi girlandami, wśród szpaleru naszych koleżanek. Tu przedstawiciel Koła Przyjaciół p. prof. Juszczakowski wita serdecznie i nadzwyczaj miło dostojnych gości i licznie zebrane poczty sztandarowe. Rozlegają się oklaski na cześć Koła.

Wreszcie po krótkiem przemówieniu druchna komendantka wręcza drużynowej Szyszkowskiej sztandar.

Wpatrzone w Białego Orła śpiewałyśmy nasze pieśni harcerskie ślubując, że odtąd jeszcze więcej będziemy pracowały nad sobą, by nie splamić naszego sztandaru. Dwie druchny wyrażają naszą radość w pięknych deklamacjach. Podniosłą i piękną uroczystość zakończyło odśpiewanie „Roty".

* * *

Jak zwykle odbyła się i fotografja, ale nietylko taka ceremonjalna. Zaproszono wszystkich uczestników do ogrodu. Przez zielone aleje snuł się barwny wąż sztandarów, radośnie łomocących w powietrzu.

Po dokonaniu kilku zdjęć, na dany znak przez komendanta chorągwi męskiej, zagrzmiało harcerskie: „Czuj! Czuj! Czuwaj"! a podniesione prawice żegnały oddalające się poczty sztandarowe.

Mira Chamiec, kl. VII gim. 523.

* O wspaniałej uroczystości harcerskiej w Lublinie pisały gazety krakowskie, warszawskie i lubelskie.

Jednodniówka Gońca

Zostałam mianowana gońcem — zwyczajnym szybkim gońcem rowerowym. Gdyby nie my, zlot zpewnością nie mógłby istnieć. Z zieloną tarczą na ramieniu, śmigały wesołe łączniki, pieszo lub na rowerach, nie zważając na błoto i śliskie drogi, roznosząc pilne rozkazy lub niezbędne informacje.

— Och — jakie one szczęśliwe, że mogą tak wszędzie jeździć — wzdychały inne druchny, skazane na nudne obozowe roboty. Dajmy na to, że szczęśliwe! Nie przeczę, że praca gońca jest bardzo ciekawa, ale to jest nie byle jaka robota!

Długo w nocy nie mogłam zasnąć. Nie-



Poczty sztandarowe lubelskich drużyn harcerskich.

ustanne bębnienie deszczu w płótno namiotowe, przejmujące zimno i przeraźliwie twarde łóżko, odpędzały mi sen z powiek. Na domiar złego uczułam lekki ból w okolicach mego uzębienia. Ładna historja, jak ta bestja mnie rozboli, to dopiero będzie raj! — Myślałam w śmiertelnej trwodze. Zaczęłam liczyć do stu, żeby prędzej zasnąć. Poskutkowało. Po krótkim czasie spałam już zdrowym snem harcerskim. Naraz doznałam lekkiego wstrząsu. Przerażona otworzyłam jedno oko. To szanowna warta, wcale nie delikatnie budziła mnie na służbę. »Wstawaj prędko, tylko nie budź nikogo, bo jeszcze cała godzina do pobudki rannej. Masz natychmiast stawić się do komendy!« — Dobrze to mówić »natychmiast«, ale jak to wykonać? — Wszystko mi się gdzieś pogubiło. Szczególnie kłopot miałam z włożeniem na nogi rozmokniętych bucików. Stanowczo dzisiaj nie miałam natchnienia do mycia się. — I tak będzie deszcz padał to trochę mnie opłócze — pocieszałam się.

Pogoda, jak zwykle była pod psem. Deszcz mżył drobnym kapuśniaczkiem, a za każdym większym podmuchem wiatru, wpadał mi za kołnierz strumień lodowatej wody. Z rzadką miną wsiadłam na rower. Melancholijnym wzrokiem ogarnęłam pogrążony we śnie obóz i... wpadłszy na drzewo, rozłożyłam się w mokrej trawie. Jak na początek wcale nieźle!!!

— »Druchno oboźna, goniec z IV-tej lubelskiej drużyny przybył na służbę« — melduję się jednym tchem w komendzie.

— »Dobrze, druchna pojedzie do hotelu Bristol po dalsze rozkazy« —.

Przepisowy »w tył zwrot« i znowu na rowerze. Po rozmiękłej drodze co chwila



Nowy Sztandar IV. D. L. H. Z.

wpadałam w lśniące kałuże, ale mimo to jechałam naprzód.

Zlot budził się. Już kucharki z wielkiemi koszykami stały cierpliwie w ogonku przed kantynami. Wielkie autobusy rozwoziły żywność dla braci harcerskiej, niektóre drużyny szły już długim sznurem do mycia »w stroju niedbałym«. Przejechawszy most na Pilicy, znalazłam się w dzielnicy handlowej.

W hotelu Bristol starszyzna spała jeszcze. Cóż było robić? Oparłam rower o ścianę, a sama siadłszy na kamiennych i wilgotnych schodkach, czekałam zmiłowania Bożego. Nie wiem jak długo siedziałam, może godzinę, może dwie, gdy usłyszałam nad moją głową zaspany głos niewieści.

»Hallo! goniec, jest tam która?« Jak wicher wpadłam na schody i stanęłam w pozycji wyczekującej przed jakąś starszą druchną. Szybkim ruchem wetknęła mi dużą kopertę do ręki mówiąc: — »goniec pojedzie prędko do 20stki, męskiej lwowskiej drużyny i odda to komendantowi«. —

Znowu przepisowe »Czuwaj« i pędzenie jak strzała w stronę obozów męskich. Policjant — harcerz uśmiechnął się do mnie ze współczuciem, rozumiejąc dobrze moją dolę.

Ba, tylko gdzie szukać tej lwowskiej drużyny? U nas na terenie żeńskim, znalazłabym wszystko łatwo, ale tu? Jestem tu przecie pierwszy raz. Po długich wypytywaniach, po strasznie błotnistej drodze, dojechałam bez większego wypadku do Chorągwi lwowskiej.



...wpadałam w lśniące kałuże, ale mimo to jechałam naprzód.

Niestety — nigdzie ani żywego ducha. Trudno zresztą, zaglądać o tak wczesnej porze do namiotów chłopców. Obchodziłam ostrożnie wszystkie namioty zdaleka, bojąc się zapuścić w głąb obozów. Wszędzie panowała głęboka cisza. — »Ależ oni długo śpią« — zdumiałam się na głos. Kręciłam się tam blizko pół godziny, wpadając w coraz większą rozpacz. — »Czego druchna szuka?« — zapytał mnie nagle męski głos. Odwróciłam się. Za mną stał wesoły harcerz, z palcami przy daszku, niemniej zdziwiony odemnie.

— »Ach druhu, gdzie ja mogę znaleźć druha komendanta z 20-stki«? —

»To się świetnie składa, bo ja właśnie jestem z dwudziestki. Wszyscy druhowie poszli na wycieczkę i ja jeden w obozie zostałem. Komendanta też niema, więc proszę mnie zostawić polecenie« — informował mnie uprzejmie druh. A to ze mnie gapa! więc bałam się podejść do pustych namiotów? Coś strasznego. Podziękowawszy druhowi, pognałam zpowrotem do Bristolu zawieźć niepomyślną wiadomość mojej druchnie.

Tymczasem zrobiła się godzina 10-ta. Kiszki w szalonem tempie grały marsza, a tu znikąd nie można się spodziewać wybawienia. Posłano mnie z drugim rozkazem, tym razem do komendy żeńskiej!

Prędko załatwiłam się ze swoją sprawą, i nawet nie pytając popędziłam do obozu. Tam przezornie zostawiono dla mnie śniadanie. Wypiłam duszkiem kawę, nie zważając na pływające w niej kożuchy i omało nie udławiwszy się bułką, wyruszyłam znowu na służbę.

Na nieustannem jeżdżeniu między komendą żeńską a hotelem Bristol, przeszedł mi czas do obiadu. — Nogi bolały mnie porządnie, a całą twarz, ręce i mundur miałam w kropki od błota.

Dostałam zwolnienie na obiad. W obozie zastałam gości. Dwóch Łotyszów, z którymi zaprzyjaźniłam się na zlocie, przynieśli mi różnych rzeczy na »**Czendzi**« (handel zamienny). Wprawdzie ja nie umiałam ani

słowa po łotewsku, a oni po polsku, jednak wspaniale rozmówiliśmy się. Niestety nie miałam czasu na miłe pogawędki. Po zjedzeniu »wykwintnego« obiadu puściłam się znowu na służbę. Tym razem zaopatrzyłam się w zeszyt, w którym zbierałam podpisy różnych zagranicznych harcerzy, oraz rozmaite drobiazgi do »**chango**«. Była pora składania sobie wzajemnie wizyt. Miałam znacznie mniej roboty. Szosa na naszym terenie roiła się od różnego rodzaju harcerzy.

»**Io munkhat**«, »**Na zdàr**«, »Soit prêtr«, tak brzmiało »Czuwaj« w różnych językach, które znałam na pamięć.

Widzę że w moją stronę zbliża się dwóch skautów jakoś dziwnie ubranych.

— Ależ to coś nowego! tego jeszcze nie mam — pomyślałam w duchu i z wdzięcznym uśmiechem podeszłam do nich.

»Io munkhat«! — zawołałam, chociaż wiedziałam świetnie, że to zpewnością nie Węgrzy.

»Io munkhat», — odpowiedzieli z najuprzejmiejszemi minami, dziwni druhowie.

Parlez vous français?« spytałam płynną francuzczyzną.

Nic!

Cisza... tylko zdziwione miny były mi odpowiedzią.

Widzę, że źle trafiłam, więc zaczynam z innej beczki: »Sprechen Sie Deutch?« — pytam po niemiecku.

Znowu nic! —

»Do you speak English?«

I znowu cisza i głupio zdziwione miny.

Zaczęłam się denerwować, wreszcie jeden z druhów, najspokojniej mówi:

»No, ale po polsku się rozmówimy«.

Takie i tym podobne przygody miały miejsce na zlocie.

Zbliżał się wieczór, miałam błogą nadzieję, że wreszcie odpocznę. A może list przyszedł?... Ale gdzie tam. Komendantka wysłała mnie aż do dzielnicy handlowej po jakieś wstążeczki. Dzielnica handlowa była oddalona od nas o 5 km. Ciemności robiły się coraz większe, spotęgowane jeszcze gęstem zalesieniem.

Rower bez latarki podskakiwał na wybojach, spotykał się o wystające kamienie, tylne koło raz po raz »zamiatało« po błocie. Cud tylko uratował mnie od poniewierki. Rower podskakiwał coraz więcej.

Nagle — zostałam wyrzucona z siodełka, nosem trafiłam w coś miękkiego i znalazłam się w nadzwyczajnej pozycji w środku namiotu...

Nieprzytomnym wzrokiem powiodłam dookoła. Tak!... niezaprzeczenie znajdowałam się w namiocie, a naokoło mnie harcerki poprostu wyły ze śmiechu. Naturalnie pomogły mi wstać i zreperować rower, który trochę ucierpiał w tej dziwnej przygodzie.

Niema jednak złego, coby na dobre nie wyszło. Zarobiłam sobie na kolację. Uprzejme druchny (jak się okazuje z Krakowa) zaopatrzyły mnie w latarkę i polecając się pamięci wyekspedjowały w dalszą drogę.

Po drobnych, jednak licznych upadkach, załatwiwszy polecone sprawunki, zakończyłam szczęśliwie swoją służbę gońca. Jakże miękkiem wydało mi się moje łóżko, jak rozkosznie ciepłym wilgotny koc. »Wszędzie dobrze, lecz w obozie najlepiej« — pomyślałam sobie zasypiając.

Beata Kelles Krauze kl. VIII. gimn. 523.

Urywek z listu harcerza węgierskiego **Jerzego Horthy'ego** do harcerski polskiej z gimn. 523.

— — — — — — — — — —

...»Nos journées de camp vivent dans mon souvenir d'une maniére trés fraîche. Vraiment le peuple polonais nous a prouvé qu'il nous aime. Pas senlement nous, mais tout nôtre peuple. Et cet amour n'est pas de politiqe, pas d'ordre, nous avons vu que tous les Polonais le sentent d'eux mêmes. Pour moi, le séjour en Pologne me servira pendant toute ma vie pour un des meilleurs sonvenirs«..

— — — — — — — — — —



nagle zostałam wyrzucona z siodełka...

Ze sceny

Przed wakacjami obserwujemy swoją sąsiadkę — piątoklasistkę Marysię. Jest zawsze bardzo rozpromieniona i zadowolona, gdy wraca z teatru.

Uczniowie poznańskich szkół (jak prawie we wszystkich większych miastach) mają t. zw. abonament teatralny i za opłatą 50 gr. od czasu do czasu oglądają dobre sztuki. Są to przedstawienia popołudniowe i młodzież zajmuje cały teatr, królując nawet w najlepszych lożach i krzesłach.

Dorobek ostatniego sezonu był nienajgorszy. Marysia widziała »Sułkowskiego«, (Żeromskiego), »Marję Stuart« (Schillera) »Marchołta«, Kasprowicza »Lekarza mimo woli« Molière'a i »Dożywocie« Fredry.

Po przedstawieniach Kasprowiczowskiego »Marchołta« pytałam wielu uczennic, czy podobało im się to dzieło. Jedna z nich odpowiedziała mi bardzo szczerze: — Gdybym je rozumiała — możeby mi się podobało, lecz to było dla mnie zatrudne. — Mówiła to dziewczyna z VII-mej klasy gimnazjalnej i wcale nie »w ciemię bita«.

Na czem polegał błąd?

Otóż przed pójściem na taką poważną sztukę, jak np. »Marchołt« nie wystarczy zaopatrzyć się w bilet wstępu i ubrać się w »lepszy« mundurek, lecz trzeba przeczytać sobie to dzieło, poszukać w jakiejś monografji, kiedy i w jakich okolicznościach ono powstało, a nawet sięgnąć do krytycznych opracowań literackich, które podają zwykle główną ideę sztuki.

Po takiem przygotowaniu odniesiemy znacznie więcej korzyści i zrozumienie dzieła będzie o wiele łatwiejsze.

Każda sztuka wymaga od widza innego traktowania, innego nastawienia. Jedna jest bogata w treść, w głębokie zdania i mądre myśli.

Inna — jest arcydziełem obyczajowem, wprost skarbnicą historji danego wieku. W takich sztukach wielkie znaczenie mają kostjumy i dekoracje. Najbardziej rasowe sceniczne te sztuki, w których dominuje żywa akcja i zręcznie dobrane sytuacje. Na scenie musi się wiele *dziać*. Wzorem pod tym względem są komedje Moljera, którego sztukę widzieliśmy ostatnio w Poznaniu.

»Lekarz mimo woli« nie odstępuje swoim charakterem od innych komedyj moljerowskich. Zasługą Teatru Polskiego jest sumienne oddanie kolorytu epoki zapomocą starannych kostjumów. Zrobiono nawet kurtynę na wzór zasłony z czasów Ludwika XIV, rozsuwaną przez stylowo ubranych chłopców.

»Lekarz mimo woli« ma niewątpliwie szereg scen rubasznych, które rażą wiele osób. Trzeba jednakże pamiętać, że to jest sztuka niepolska, że niektóre powiedzenia w tłomaczeniu wypadają bardziej jaskrawo, aniżeli w oryginale.

Cóż jednak sprawia, że prawdziwy miłośnik teatru wychodzi z tej sztuki zadowolony?

Otóż djalogi i kompozycja poszczególnych scen są tak mistrzowsko wykończone, że przypominają zwiewne ruchy taneczne, są najzręczniejszą gimnastyką słów. Niezwykła dynamika pytań i odpowiedzi polega nie na ilości słów, lecz na wielkiej zwartości wewnętrznej. Zdania padają niczem pociski z napiętego łuku.

Stworzone przez autora *zdarzenia* zazębiają się nawzajem. Stąd rodzą się przeróżne nieoczekiwane sytuacje, powodujące u widza wybuchy śmiechu.

I to jest zasadnicza, nieśmiertelna cecha wszystkich moljerowskich dzieł. Bo treść jest w nich przeciętna, nieraz nawet banalna napozór. Każda z jego sztuk omawia jakąś cechę charakteru ludzkiego: skąpstwo, obłudę, zarozumiałość... Wybierał w tym celu typy ludzkie zaobserwowane w życiu i pokazywał je na tle codziennych zdarzeń.

Może właśnie dzięki temu, że niema w nich żadnej pozy, czy sztuczności, Moljer zalicza się do pisarzy nieśmiertelnych i stał się własnością ogólno-ludzką.

Z. K.

Pierwszy wywiad

Jesteśmy w 8-mej klasie, to nie byle co. A ponieważ to ostatni nasz rok w szkole, więc trzeba go czemś uświetnić. Tak postanowiwszy, uradziłyśmy obie z Atą zostać dziennikarkami. Będziemy robić wywiady ze znakomitościami, które się znajdą w Lublinie i będziemy je posyłać do »Dziś i Jutra«. Świetnie! Jako pierwszy, wysunęła Ata wspaniały plan wywiadu z dyr. teatru Wołyńskiego p. Rodziewiczem, który co dwa tygodnie przyjeżdża do Lublina ze swym zespołem. Dyr. Rodziewicz bardzo energicznie uruchomił zamknięty już teatr lubelski, ponadto co jakiś czas urządza przedstawienia specjalnie dla młodzieży np. komedje Fredry.

Więc idziemy! Tak! Na tydzień przedtem wszystko wydawało się nam bardzo łatwe i wesołe, ale gdy nadszedł dzień przyjazdu p. Rodziewicza, miny nam mocno zrzedły i pokrywając zdenerwowanie »homerycznym« śmiechem, poszłyśmy dowiadywać się czy dyrektor już przyjechał.

W hotelu Victoria portjer poinformował nas, że wszystkie pokoje są zajęte, zresztą dyr. Rodziewicz przyjeżdża zwykle o 3-ej. Była 2-ga więc mogłyśmy mieć nadzieję, że się jeszcze zjawi. Umówiłyśmy się zatem na godzinę 5-tą, aby podjąć dalszą akcję. — O 5-ej, na głos Aty wołającej mnie przez okno, wybiegłam z domu jak strzała, rzucając za siebie: »idę do dyrektora Rodziewicza«. Nareszcie jesteśmy pod »Europejskim« Nieśmiało zbliżamy się do portjera: »Proszę pana, czy tu stanął dyr. teatru Rodziewicz?«

Portjer (trochę nie dosłyszy) dopiero na trzecie nasze zapytanie odpowiada z wyniosłą miną:

»Tak, pan Rodziewicz mieszka tu, w pokoju Nr. 26«.

Czy to jest ten dyrektor teatru wołyńskiego?« — upewniamy się jeszcze.

»Dyrektor, dyrektor teatru, nie wiem« — mówi informator, wykrzywiając się tak pogardliwie i tak piorunująco na nas spoglądając, że szarpnęłam Atę za rękaw: »chodź, on jest przecież niemożliwy«.

Usuwamy się szybko z niemiłego pola widzenia.



»No, teraz trzeba upewnić się, czy on nas przyjmie?«

»Zatelefonujemy!«

»Ale skąd«.

»Musimy chyba iść do ciebie Ato«.

»Co, zwarjowałaś! — to strasznie daleko« — krzyczy Tuśka oburzona.

»No to do Myszki«, — mówię pojednawczo.

»Ależ to jeszcze dalej«!

»Skąd więc?«

»Przecież mamy szkołę«!

»Więc do szkoły«.

Tu wszystko poszłoby dobrze, gdyby nie wstrętna książka telefoniczna. Tak się gdzieś zapodziała, że ani jej odnaleźć. Cały pokój nauczycielski przeszukałyśmy, nazłościłyśmy się okropnie, a ona gdzieś w kącie na etażerce, spokojnie sobie leżała. Przy telefonie, pewna siebie, robię taką minę, że Ata pyta zdumiona:

»Skąd ty masz tyle odwagi?«

»E, wszystko fraszka!«

Z telefonu jednak dowiaduję się tylko tyle, że dyr. Rodziewicz wyszedł i niewiadomo kiedy wróci. Rzucam ze złością słuchawkę i patrzę na Atę:

»Co robić?«

»A pójdziemy jeszcze do kasy teatru, tam muszą coś wiedzieć«.

»Czy mogłaby nam pani objaśnić gdzie jest dyr. Rodziewicz?« — zwracamy się uprzejmie do kasjerki.

»Dyrektora teraz niema w teatrze, z pewnością będzie u Rutkowskiego« (jest to najlepsza i jedyna cukiernia w Lublinie). O Boże, nowa pielgrzymka! Zatem do »Rutka«. Stajemy przed cukiernią. Przy jednym stoliku siedzi w towarzystwie ktoś, kogo Ata uważa za dyrektora. Dobrze, ale przecież nie możemy do niego podejść w cukierni, wobec tylu osób. Zresztą jesteśmy złe i zde-

nerwowane niepowodzeniem, nie mamy odwagi. Przychodzi mi do głowy pewna myśl.

»Wiesz co Tuśka to pech, przecież wróciłam się do domu po numer »Dziś i Jutro«, żeby dyrektorowi pokazać. To nic innego tylko to zaszkodziło. Musi przejść zła »passa«. — Idziemy do ciebie, do siódmej mamy czas, bo o 7-ej Rodziewicz ma być w kancelarji teatru«.

Jest 6'15.

No dobrze, — mówi zniechęcona Ata — ale mnie jest tak niedobrze, że nie wiem czy dojdę.

»Bój się Boga« — mówię przerażona — tylko nie zemdlej, bo Cię nie utrzymam, jak będziesz leciała. Wiesz to pewnie z głodu. Zjesz w domu i będzie dobrze.

Rzeczywiście po ograbieniu całej śpiżarni z chleba, szarlotki i jabłek, czułyśmy przypływ nowych sił i humoru.

Miałam ochotę tańczyć i śpiewać. Każda z jabłkiem w ręku zbiegamy ze schodów.

Już jesteśmy na ulicy.

Punkt 7'20 przed teatrem. Tu zatrzymujemy się. Ata, która dotąd trzymała się świetnie, traci kontenans. »Słuchaj — płącze się ze wzruszenia — to będzie okropnie głupio, o czem my będziemy z nim gądać? Ja mogę pójść i doprowadzić do tego, że on nas przyjmie, poda rękę, ale co dalej«?

»Nie wiem, cicho siedź, — mówię z determinacją — jak będziesz się darła, to cię ze schodów zrzucę, już ja będę gadać, nie bój się«.

»Będziesz? — mówi z ulgą Ata — no pamiętaj, trzymam cię za słowo«.

Wchodzimy na schody.

Drzwi na lewo.

Pukam!

Nic!

Cisza. —

W tem, w drzwiach na prawo widzę dwie osoby.

»Gdzie jest Dyr. Rodziewicz?«

»Tu«.

»Tutaj?« — pytam prawie przerażona. Oglądam się na Atę. Stoi niezdecydowana. Więc zbieram całą odwagę. Pukam i staję w otwartych drzwiach. Pokoik zalany błękitnem światłem, przy stoliku postać mężczyzny, ze szpakowatemi włosami, głowa oparta na dłoni.

»Panie Dyrektorze czy można?« — spływają mi z ust nieoczekiwane słowa. Wówczas podnosi się, robi krok ku mnie.

Podchodzę i mówię: »jako korespondentki naszego szkolnego pisma, chciałyśmy prosić p. Dyrektora o krótki wywiad«. Podaje mi rękę potem Acie.

»Proszę bardzo, niech panie siadają«. Podaje nam krzesła. Szlachetna głowa o pięknych rysach twarzy uspokaja nas. Nabieramy otuchy.

»Nie będziemy Pana Dyrektora długo męczyć, chciałyśmy tylko kilka pytań...«

»Tak, tak, ogromnie mi miło, ale dziś doprawdy nie mogę wywiadu udzielić — jestem cierpiący, — pokazuje na serce i mówi niskim, miłym głosem — przykro mi proszę niech się panie nie gniewają. Nie chciałbym, żeby wywiad miał charakter wymuszony, będę tu zresztą jeszcze. Może więc jutro lub później. Najlepiej w niedzielę. Zatem czekam was w niedzielę«.

»Nie będziemy więc przeszkadzać, bardzo przepraszamy«.

Wstajemy i umawiamy się dokładnie o termin wywiadu, patrzymy ze współczuciem oraz podziwem na piękną twarz dyrektora, który — wytworny w każdym ruchu — żegna się z nami i jeszcze raz przeprasza.

I znów jesteśmy na schodach.

»Udało się, hurra Ata!« — łapię ją w objęcia, całujemy się, biegniemy obijając boki o ściany. Dzielimy się wrażeniami zachwycone, rozentuzjazmowane:

»Jaki miły!«

»Cudowny, a jaki uprzejmy«.

»Pomyśl, myśmy przypuszczały, że nas nie przyjmuje«.

»Zachwycający, dystyngowany«.

Nie możemy znaleźć słów, któreby oddały naszą radość.

Czerwone, zadyszane, wybiegamy na ulicę. Światła wirują przed oczyma, ludzie się śmieją, latarnie się śmieją. Gwiazdy mrugają, — a my idziemy rozradowane, zadowolone z całego świata, ze siebie, z Rodziewicza, zachwycone perspektywą drugiego spotkania.

Ale jak my się doczekamy tej niedzieli?!!

(C. d. n.)

Baśka Jaworowska.
Kl. VIII. gim. 523.

Starożytny Rzym

Dziwnie się w tem Wiecznem Mieście splata, — przeszłość chwały pełna, — z teraźniejszością pretensjonalną.

Wśród ruin, pogruchotanych, kolumn i gzymsów, kapiteli, posągów bez rąk lub głowy, zatartych napisów, które owijają pnącze i zieleń, wznoszą się nowoczesne budowle. — Obok Kapitolu — kolebki Starej Romy, lśniący bielą marmurów i złoceń — wspaniały pomnik Włoch Zjednoczonych. Nieraz rażą te kontrasty zbyt silnie i psują nastrój tego wielkiego cmentarzyska historji.

Rzym cezarów zresztą, przyćmiewa Rzym papieży — stolica chrześcijaństwa, miasto niezliczonych świątyń Bożych i najświętszych po Ziemi św. pamiątek. Największe wrażenie robi Colosseum; nietylko budzi podziw gigantycznością swych murów, wznoszących się na 14 piętr, ogromem swej elipsowatej przestrzeni, ale przedewszystkiem tą atmosferą świętości jaka to miejsce przepełnia.

Najwspanialsze pomniki budownictwa starożytnego, zawdzięcza Rzym cezarowi Augustowi, z ostatniego roku przed narodzeniem Chrystusa. Chlubił się tem, że zastał Rzym ceglany a zostawił marmurowy, — powstało wtedy Forum Augusta, Curia Julia, Termy, Panteon i t. d.

Pierwszy cyrk powstał w 37 roku po Chr. za Kaliguli, nazwany później cyrkiem Nerona, gdzie obecnie wznosi się bazylika św. Piotra. Trudno sobie wyobrazić godniejsze na tę świątynię miejsce, uświęcone bowiem jest krwią tylu tysięcy męczenników. Colosseum zaczęte w 69 roku po Chr. za Wespazjana, ukończone zostało za syna jego Tytusa. Wznowili oni tradycje wielkiego Augusta i ozdobili Romę wiekopomnemi budowlami. Forum rozbudowało się pałacami i świątyniami Vesty i Minerwy — wspaniałymi łukami triumfalnymi — Titusa it.p.

Nazwa Colosseum, ma pochodzić stąd, że na tem miejscu był staw Nerona, gdy go spuszczono, to znaleziono kolos — posąg Nerona-okrutnika, znienawidzonego za swe zbrodnie. Budowa ta zadziwiająca dzisiaj jeszcze ogromem i umiarem harmonijnym swych 14 piętrowych murów, mogła być zaliczona do ośmiu cudów świata.

12,000 żydów niewolników wznosiło te kamienne bloki — spajając je ołowiem i wykuwając otwarte galerje — na eterycznych kolumnach doryckich u dołu wsparte, — wyżej na jońskich i korynckich, — półkolistemi łukami łączone. 70 bram prowadziło do wnętrza, — dwa portyki wspaniałe przeznaczone były jako wejścia dla cezarów i dworu. Przeszło 100.000 widzów pomieścić się tu mogło, — a podczas igrzysk — stało na najwyższej kondygnacji 10.000 niewolników, trzymając olbrzymi baldachim z kosztownej tkaniny złotem i perłami haftowanej, aby osłonić patrzących przed palącymi promieniami południowego słońca.

Z początku odbywały się w cyrkach turnieje, — walki gladjatorów, — bitwy wodne; — a w czasie prześladowania chrześcijan — wypuszczano, na obszyte w skóry zwierzęce kobiety, mężczyzn i dzieci, — gromady zgłodniałych dzikich zwierząt — i patrzono jak ginęli tysiącami wyznawcy nowej wiary, nie prosząc o litość, nie widząc ani cezara, ani tłumów okrutnych, — wśród śpiewu „Christus regnat", — albo klęcząc z oczami zwróconemi ku niebu szepcąc cicho: pro Christo, — pro Christo. A z tego krwi posiewu — nowe powstawały zastępy — bojowników wiary Chrystusowej. — Kryły się w katakumbach, — ginęły na arenach, — aż do 4 go wieku, gdy Konstantyn Wielki ogłosił wiarę chrześcijańską za panującą.

Krzyż wielki wznosi się dzisiaj w środku areny Colosseum. Runęła potęga Rzymu, a na wielkich ruinach zakwitła kultura i idea chrześcijaństwa — Kościół Triumfujący i „bramy piekielne nie przemogą Go".

Marja Stecowa.

Bój żabiomysi.

OD TŁUMACZA:

Dochował się naszych czasów stary poemat grecki, wdzięczna bajka, o której nie wiadomo dokładnie kiedy powstała i kto ją napisał. To pewna, że urodziła się na ziemi helleńskiej wówczas, gdy świeży czar »Iljady« panował nad duszami greckiemi. Autor bajki nie roztoczył jednak bohaterskich zapasów walecznych Achillesów, rycerskich Hektorów,

przemyślnych Odyssów, wiernych Patroklów. Opiewał ich już jego mistrz, boski Homer. Tutaj zamiast greckich herosów występują kumkające żabki, a zamiast wojowników trojańskich — płochliwe myszy. Walczą, ale zbrojne w hełmy z łupiny orzecha, w szpilki jako włócznie, w puklerze z kapuścianych liści. A pobudkę wojenną tak pięknie im grają komary, że bogowie olimpijscy kierują swe promienne oczy na pole bitwy.

Bezimienny autor bynajmniej nie lekceważy swego poematu o zielonych bohaterach ze stawu i o burej rzeszy z mysich dziur. Posłuchajcie, jak wzniosłą rozpoczyna inwokację, niczem poważny Homer:

* * *

Pieśń mą zaczynam błaganiem, by Muz pląsający korowód
Zszedł z Helikonu wierzchołków i serce moje nawiedził.
Już na kolanach mych leżą tabliczki i więc modły zanoszę
By straszliwy ów bój, zawierucha bitewna, Aresa
Dzieło krwawe przenikło do uszu wszystkich śmiertelnych.
Jak się to stało, że w walce z żabami ród mysi dokonał
Czynów tak świetnych, jak ongi synowie ziemi, Giganci?
Oto co mówi wieść ludzka o baśni onej początku:
Razu jednego mysz pewna, umknąwszy groźnej łasicy,
W stawie pobliskim, trawiona pragnieniem, swój pyszczek łakomy
W wodę wnurzyła z rozkoszą, napojem miłym się sycąc.
Tam ją żaba, bagienna gaduła, ujrzała i rzecze:
»Coś, przybyszu, jest zacz? Skąd przychodzisz na brzeg tego stawu?
Kto cię zrodził? Mów prawdę mi szczerą i zmyślać nie próbuj.
Jeśli zobaczę, żeś godzien przyjaźni, powiodę cię w dom mój
I gościńcami, cennemi darami, obsypięć bez miary.
Jam jest król Odmigęba, co czci zażywam powszechnej
W stawie tym, żab społeczności panując zawsze i stale.
Ojcem był mi Błotorad, co zrodził mnie ongi z Wodnicy.
Ale i tyś, widzę, piękny i silny, przedniejszy od innych:
Berłowładnym panem być musisz i dzielnym rycerzem.
Nuże więc, powiedz mi prędzej, z jakiego rodu pochodzisz«.
»Jakto, więc pytasz o ród mój? Wszak dobrze on znany jest wszystkim
Ludziom śmiertelnym i bogom wieczystym i ptakom niebieskim.
Zwę się Kąskołap a ojcem mi jest wielkoduszny Gryzichleb,
Młynoliza zaś matką, co król ją zrodził Szynkodrap.
W chacie powiła mnie, jadłem wybornem karmiła obficie,
Orzechami, figami i wszelakiemi przysmaki.
Jakżebym mógł być twym druhem? Wszak różne są nasze natury:
Ty pożywienie masz w wodzie, zaś ja zwykłem to gryźć, co człowiek.
Nie przepuszczę niczemu: tu w krągłych koszykach pieczywko
Z przedniej mąki a pulchne, tam tłusty placek serowy,
Owdzie płat szynki, to znów przyrządzona na biało wątróbka,
Ser świeży z mleka czy piernik wyborny (i bogów to przysmak),
Słowem — co tylko na ucztach podają ludziom kucharze,
Rozlicznemi przyprawy ubrawszy dania w naczyniach.
Nie unikałem ja nigdy straszliwej wrzawy wojennej,
Ale prostom szedł w bój, w walczących pierwsze szeregi.
Nie znam trwogi przed ludźmi, choć wielkie cielska dźwigają:
Nieraz wślizgnąwszy się w łóżko, w koniuszek palca lub w piętę
Człeka ugryzę, że słodki sen nań spłynąć nie może,
Ni się uśmierzyć chce ból, jak długo kąsam biedaka.

Jednak boję się srodze i na kraj światabym uciekł
Przed wrogami, co życie mi trują: jastrzębiem, łasicą
Oraz łapką bolesną, gdzie śmierć zdradliwie się czai;
Zwłaszcza łasicy się lękam, co jest z tych trzech najgroźniejsza:
Zaszyj się w mysią dziurę — i w dziurze cię ona wyszpera.
Ja się nie żywię rzodkiewką, kapustą czy też dyniami,
Nie jem czosnku młodego ani nie gryzę pietruszki;
Wszystko to wasze specjały, którzy mieszkacie w kałużach«.
Na te słowa z uśmiechem odrzecze król Odmigęba:
»Zbytnio cię wzbija w pychę twój brzuch, przybyszu. Wszak u nas
Również niemało jest dziwów zarówno na ziemi, jak w stawie;
Bowiem dwoistą naturą obdarzył żaby Kronida:
Mogą skakać po ziemi i w wodzie skrywać swe ciało;
Oba żywioły są nasze i w obu mamy domostwa.
Jeśli je pragniesz zobaczyć i poznać, to nic łatwiejszego:
Wleź mi na plecy a trzymaj się mocno i nie zleć mi czasem,
Byś szczęśliwie, ochotnie zawitał do domu mojego«.
Tak powiedział i grzbietu nadstawił, a tamten wraz wsiadł nań,
Łapek łagodnym oplotem za jędrną objąwszy go szyję.
Tak więc żaba, tę mysz wiodła w dom swój, na plecy ją wziąwszy,
Płynąc zaś, rozczapierzała swe żółte członki w wód jaśni.
Cieszył się zrazu Kąskołap, gdy widział w pobliżu przystanie,
Na Odmigębie żeglując wesoło. Skoro aliści
Nurt otoczył go groźny, zapłakał rzewnie nieborak,
Darmo szaleństwo jął sobie wyrzucać, a włosy wyrywać;
Nogi skurczył, do brzucha je cisnąc, a serce mu w piersiach
Biło okrutnie: do ziemi, do brzegu przybić już pragnął:
Teraz zaś jęczał żałośnie, zmrożony lękiem i trwogą.
Ogon spuścił do wody, prowadząc go nakształt wiosła,
I do bogów jął modły zanosić, by wnet wylądował.
Nagle ujrzeli obydwaj ze zgrozą okropne zjawisko:
Wąż! — wynurzył szyję, co prosto nad stawem sterczała!
Nura dał Odmigęba, gdy zoczył go; wcale nie zważał,
Że towarzysza swojego na pastwę zguby zostawia;
W stawu zagłębił się tonie i czarnej śmierci uniknął.
Opuszczona zaś mysz równocześnie nawznak wpadła w wodę
Łapki kurcząc ze strachu i piszcząc w śmiertelnej godzinie;
Pójdzie pod wodę, to znów, przebierając łapkami, wypłynie;
Lecz przeznaczenia zgubnego nie sposób było uniknąć:
Sierść, przepojona wilgocią, ciągnęła na dno mysz biedną.
Ginąc tedy wśród fal, w te słowa przemówił Kąskołap.

— — — — — — — — — — — — — — — —

»Nie ukryjesz podstępnie swej zbrodni, zły Odmigębo,
Któryś mię strącił z grzbietu, niby rozbitka ze skały.
Podły zdrajco, nie byłbyś na suchej pokonał mię ziemi
Ani w zapasach ni w walce na pięści ni w biegu; tyś wolał
Zwieść mię, by wrzucić do wody; lecz czuwa bóg — sędzia surowy:
Karę poniesiesz od mysich zastępów i zguby nie ujdziesz«.

(c. d. n.)

Ig. Wieniewski

MATKA

Pani Szafrańska ocknęła się nagle, czując jeszcze nieprzezwyciężoną senność.

— Trza wstawać, trza wstawać — mamrotała niewyraźnie, zapadając ponownie w sen. Za chwilę jednak poderwała się z łóżka przestraszona. Budzik wskazywał już szóstą.

— Jezus-Maryja, a tom se zaspała! — naciągnęła szarą spódnicę i zaczęła się krzątać po małej izbie. Powieki opadały jej na oczy, w stawach czuła jakby obrzmienie. Nalała wody na żelazną miednicę i przemyła twarz.

Złote promyki wpadały przez okno wprost na łóżko dzieci. Z pod brudnych, zniszczonych płacht wyglądały główki jasne, roztargane. Oczy matki na jedną chwilę przylgnęły do tych trzech główek. Potem rozpaliła pod kuchnią ogień, postawiła na blasze garnek z wczorajszą zupą.

— Józik, a wstawaj-no! — zbliżyła się do swego łóżka, gdzie z pod kupy szmat sterczała chuda ręka. W odpowiedzi rozległo się tylko mruknięcie. Pochyliła się, odgarniając szmaty. Stanowczo potrząsła ramieniem chłopca. Rad nierad musiał Józik wstać. Przecierał zaspane oczy, ziewał szeroko, mamrocząc jakieś przekleństwo.

— Mamo, takbym se pospał jeszcze — poskarżył się. Matka pogłaskała go chudą ręką po głowie.

— Żeby ojciec dostał robotę, pospałbyś se jeszcze, nieboże — westchnęła ciężko. Tymczasem drugie łóżko też się obudziło. Nagle rozległ się pisk radosny, potem dwie małe rączki odrzuciły z siebie płachtę i czteroletnie dziewczątko szybko zsunęło się z łóżka. Bose nogi zadudniły na podłodze. Była już przy matce.

— Mamo jeść!

— A, tylkoby jadła, — nibyto nachmurzyła się matka, mając w kącikach oczu i ust uśmiech ukryty. Odgarnęła jasną, krętą czuprynkę z czoła dziecka. Popatrzyły na nią czarne, roześmiane ślepka.

— Mamo, jeść! — tłuste nóżki podskakiwały niecierpliwie.

— Mamo, eś! — zaseplenił drugi głos z łóżka. Znów jasna główka wypłynęła z poza płachty.

— Ojej, spadnie! — Józik poderwał się od stołu, chwytając malca w porę, gdyż rączkami oparty o poręcz łóżka tracił równowagę. Mała, tłusta figurka z powagą zaczęła się toczyć ku matce. Włosy krótko przystrzyżone, czarne oczka okrągłe i nieruchome. Miał zaledwie dwa lata.

— Wkońcu z łóżka podniosła się blada, szczupła dziewczynka. Tak jak tamte miała czarne oczy i jasne włosy splecione w dwa długie warkocze. Zaraz zaczęła krzątać się po małej izbie. Zasłała dwa łóżka, zamiotła podłogę. Matka wysupłała z chusteczki dwadzieścia groszy.

— Idź, Marto, po chleb!

— Co robicie dzisiaj, mamo? — zapytał Józik.

— Rano jak zwykle posługi. Może Bóg da, że wrócę na pierwszą. A potem patrz! — w kącie szarzał kłąb brudnej bielizny. Kobieta spojrzała na swoje ręce wyżarte od sody, nozdrza poczuły nieistniejący w tej chwili opar mydlin i brudu. Zrobiło jej się mdło. Twarz nabrała jeszcze bardziej szarego odcieniu. Zatoczyła się lekko na ścianę.

— Co wam, matko? — chłopak doskoczył do niej. Wypukłe, niebieskie oczy znieruchomiały przerażone, rękami ściskał jej ręce.

— Nic dziecko, nic, — uśmiechnęła się żałosnym uśmiechem. — Zmęczonam. Niema kiedy wypocząć.

— Matuniu, nie chodźcie dzisiaj, odpoczniecie se. — Pochylił twarz do jej rąk. Pogładziła go po głowie.

— Zjem śniadanie, to skrzepnę. — Opanowała zmęczenie. Postawiła na stole garnek z gorącą zupą, porozkładała misy blaszane i łyżki. Marta przyniosła bochenek chleba, pokrajała na mniejsze i większe kawałki. Wszyscy obstąpili stół. Matka usiadła na jedynem krześle z małym Wojtusiem na kolanach, obok niej niecierpliwa Rózia sięgała łyżką do pełnej misy.

— Czekaj, dostaniesz zaraz. — Roześmiała się matka, ale gdy wrzątek prysnął na dziecko, które się rozkrzyczało, wyrwała ze złością dziewczynie łyżkę. Sama przysu-

nęła misę i sama zaczęła karmić naprzemiany dwoje najmłodszych, dając to łyżkę zupy to kęs chleba, Józik i Marta przykucnęli na małej skrzynce. Jedli łapczywie. Chwilę panowała cisza, słychać tylko było mlaskanie i stukot łyżek o blaszane dna. Wkrótce jednak Wojtuś, a za nim Rózia zaczęli gwarzyć po swojemu. Matka słuchała tego paplania z radością. — Kochane, małe kruszyny!

— Marta, mama cosik dzisiaj słaba. Nie pozwól jej iść na posługi.

— Abo to mnie posłuchnie, — odezwała się cichutko. Ja już pozór daję od niedzieli, co nie jest dobrze. Wczoraj to jom tak zemdliło, że myślałam — padnie bez ducha. Powiedziałam, że nie pójdę do szkoły, Jezu, jak mnie skrzyczała! Józik, powiedz ty jej! Ty już jesteś jakby dorosły i pracujesz, ciebie usłuchnie.

Czternastoletni Józik będąc chłopcem do posyłek w dość dużym sklepie spożywczym, razem z matką utrzymywał dom. Ojciec przepadł gdzieś w świecie, szukając roboty. Słowa siostry przypominały chłopcu, że najwyższy czas iść do sklepu. Szybko dokończył zupy, obtarł ręką usta i niepewnie zbliżył się do matki.

— Mamo, już idę. Mamo, zostańcie dzisiaj w domu. Mamo! — zawisł oczami na jej ustach. Stanowczo zaprzeczyła głową.

— Do samej śmierci nic mi nie będzie. W węzełku mam już tylko dwadzieścia groszy. Za co wam obiad ugotuję. Pani dochtorowa obiecała mi dzisiaj wypłacić resztę za posługę, pięć złotych. Muszę iść. Takci ją będą długo prosić, aż mi zapłaci. Zapłaci, musi mi zapłacić za moją rzetelną pracę. Nie darmocha przecież! O Jezu, że też tak trudno o te pieniądze! Takie państwo nibyto wielkie, a nie mają skąd zapłacić.

— Eee — wzruszył Józik ramionami.

— Wcale nie... e... — oburzyła się matka. — Ja wiem dobrze. Bieda u nich wielka.

— O Jezu, takie państwo! — dziwiła się Marta.

— Dosyć już tego gadania. Józik spóźnisz się — krzyknęła nagle matka, popatrzywszy na budzik. Chłopak chciał coś jeszcze powiedzieć, pokręcił się jakoś niepewnie po izbie, chwycił czapkę, nasadzając ją z fantazją na ciemną czuprynę i wyszedł. W oczach miał powagę. Myślał z trwogą, że jeśli matka zachoruje, to, to... Dzieci małe, on cały dzień zajęty, Marta chodzi do szkoły. Czy ona zresztą potrafi matkę zastąpić, jeszcze nie ma dziesięciu lat. A najgorsze, że skądby się wtedy wzięło pieniędzy.

Pani Szafrańska nakarmiwszy dzieci wlała resztki zupy na talerz. Mało tego było, ale ona to tam zawsze na posłudze co dostanie. Posiedziała jeszcze chwilę bez ruchu, potem jednak z pośpiechem poderwała się z krzesła. Nagle z prawej strony prawie w samym pasie uczuła ostry ból, aż jej dech zaparło. Ból ten od jakiegoś czasu ją gnębił. Czasem krótki i ostry jak pchnięcie nożem, to znów głuchy i nieustanny jakby jej tam kto długą drzazgę wbijał. Przeżegnała się nieznacznie, odżegnując się od nieszczęścia i choroby. Wciągnęła głęboko dech. Od gardła do serca spłynęła przeraźliwie zimna fala strachu. Jakby chcąc uciec przed tym strachem, przyodziała się w bluzkę, buciki obuła i narzuciwszy chustkę, ucałowała całą trójkę. W drzwiach się odwróciła.

— Marta, a przed pójściem do szkoły przypomnij pani Śmieszkowej, żeby dawała pozór na dzieci.

Przez furtkę w płocie wyszła śpiesznie na ulicę. Nędzne domki smutnie patrzyły lśnieniem małych szybek. Dzieciska rozkrzyczane jak stado ptaków, umorusane i bose ganiały z jednej strony ulicy na drugą, rozbryzgując cuchnące błoto z kałuż. Ponad niemi przelatywało stadko rozćwierkanych wróbli, błyskawicznie przysiadając w drodze i wyszukując okruszyny chleba, które gubiły dzieci. Pani Szafrańska nie zwracała już uwagi na ten codzienny obraz. Na sekundę tylko stanęła jakby olśniona przed akacją z poruszającemi się jasno-zielonemi listkami. Ujrzała poza nią łąkę pod lasem, gdzie jasnowłosa, opalona dziewczynka w niebieskiej sukience pasła dwie łaciate krowy. Jak to już było dawno! Odpędziła od siebie zwid dzieciństwa i szła dalej. Miejsce niskich domków zajęły kamienice. Na chodnikach ludzie śpieszą się w różnych kierunkach, służące z koszami, robotnicy, panie i panowie z teczkami, dzieci do szkoły. Coraz nowi ludzie zjawiali się i nikli. Pani Szafrańska przy ulicy Zwierzynieckiej przystanęła. Nagle doznała takiego uczucia, jakby w piersiach miała pustkę. *c. d. n.*

OFIARA MODY

Hallo... czy to ty Lulu? — mówi Ala. Tak, to ja — czy masz do mnie jaki interes Alu? Nie, nie mam do ciebie żadnego interesu, tylko chcę ci zaproponować przechadzkę — taki cudny dzisiaj dzień! No dobrze, ale ty wstąp po mnie — rzekła po głębokiem namyśle panna Lulu.

Do zobaczenia...

Panna Lulu zawiesiła słuchawkę telefonu, następnie usiadła na kanapie i poczęła rozmyślać w jaką sukienkę się ubrać.

— Chyba włożę tę sukienkę koloru rumba. Cudnie będą wyglądały przy tym kolorze, moje platynowe włosy i oczy z pięknemi rzęsami. Wprawdzie mam rzęsy przyprawiane, ale kto się zna na tem — pomyślała.

Zdecydowawszy się na wybór sukienki, Lulu szybko się przebrała, następnie podeszła do lustra i z upodobaniem przyglądała się swej smukłej linji, którą zdobyła niejedzeniem śniadań, podwieczorków i kolacyj. Wreszcie poczęła długo rozczesywać platynowe włosy, zauważywszy w międzyczasie, że trochę już zciemniały i że trzeba będzie je na nowo pofarbować. Tymczasem do pokoju panny Luli weszła jej przyjaciółka Ala. Panna Ala ubrana była ładnie, ale skromnie i sądzić można było z jej ubioru, że niezbyt zajmuje się modą. Przyjaciółki przywitały się. Panna Ala usiadła na kanapie, czekając aż przyjaciółka skończy toaletę. Lula skończywszy czesanie poczęła z wielką umiejętnością pudrować buzię na kolor bronzowy.

Moja Lulu, poco ty to robisz, taki brzydki kolor tego pudru — rzekła Ala.

— Ach co ty wiesz, właśnie, że jest ładny, a niby cóż mam robić z twarzą, aby się zrobiła bronzową. Opalony kolor skóry jest taki modny, a ja przecież opalać się nie mogę, bo po pierwsze nigdy się nie opalę na bronzowo tylko na czerwono, a po drugie całą twarz mam w piegach — tłumaczyła z miną dyplomatyczną Lulu.

Teraz przystąpiła do czesania sztucznych rzęs malutką szczoteczką. Ponieważ Ala się niecierpliwiła, Lulu szybko (a miała w tem wielką wprawę) umalowała na jaskrawo czerwony kolor usteczka. Ostatnią czynnością zresztą dość długą, było nakładanie na bakier maleńkiego modnego kapelusika również koloru rumba. — Nareszcie wyszły z domu. Szły ulicami pełnemi gwaru. Dzień był upalny, lipcowy. Lulu poprzez krem i puder odczuwała palące gorąco. Była niezadowolona z tego, że dała się nakłonić na tą przechadzkę w taki upał i to gdy tyle pudru nakładła na buzię, a obcisła, wcięta suknia przylegała ściśle do figury, przyczyniając się do większego gorąca. Przechodziły właśnie przez piękną topolową aleję parku miejskiego, gdy spotkały pana Witolda. Panna Lulu przystroiła piękne, umalowane usteczka w uśmiech á la Marlena Dietrich (a był taki modny!) Pan Witold podszedł do panien, a Lulu zauważyła, że gdy witał się z nią, usta mu zadrgały, jakby tłumionym uśmiechem. Usiedli na ławce. Pan Witold uprzejmie z nimi rozmawiał, ale i tym razem Lulu zauważyła, że więcej się zajmuje tą małą Alą, a przytem jakżeż szyderskiem spojrzeniem obrzuca ją, śliczną Lulu. W pewnej chwili poczuła, że twarz ma dziwnie wilgotną. Co za upał! — myślała Lulu.

Nagle Ala zerwała się z ławki i rzekła z pośpiechem, że ona z Lulu musi koniecznie już iść. Nim się Pan Witold zorjentował, Ala złapała Lulu za rękę i pociągnęła za sobą. Gdy oddaliły się spory kawałek od ławki, na której siedział pan Witold, wyjęła lusterko z torebki i podała go Luli.

Ach Lulu coś ty zrobiła! spójrz!

Lulu spojrzała i zdrętwiała. Puder pozwijał się na jej twarzy, ukazując białą naturalną skórę, na ustach ani śladu pomadki, a rzęsy widocznie niezbyt umiejętnie czesane, pozlepiały się.

Boże, ależ to kompromitacja! skandal! krzyknęła zrozpaczonym głosem Lulu. Wczoraj dopiero kupiłam puder i pomadkę, kosmetyczka oszukała mnie mówiąc, że doskonały. O podła!

Biedna ofiara modnych pudrów bronzowych, platynowych włosów i przyprawianych rzęs, pełna rozpaczy udała się z powrotem do domu. *Tala 440.*

Nadesłane nowe książki „Wydawnictwo św. Wojciecha w Poznaniu".

Prof. Górski — Franciszek Mauriac. Skreślona artystycznie sylwetka wybitnego katolickiego pisarza francuskiego wprowadza czytelnika w tajniki nowe — mało dotąd poruszane duszy pisarza i dusz bohaterów. Rzecz tę przedewszystkiem powinni czytać ci, którzy czują w sobie talent pisarski a nie chcą stanąć na szarym końcu braci autorów. — Mauriac realista i analityk siedzi w najujemniejszych stronach życia a jako czołowy katolik wkłada cały wysiłek swego talentu w uszlachetnienie ludzi, których przedstawia. — Prof. Górski w swej obszernej sylwetce zapoznaje nas z całością prac Mauriaca a przez to zachęca zajmujących się literaturą francuską do wzięcia ich do ręki.

Prof. Folkierski. — Mieczem i Krzyżem. Postać Ernesta Psichari, tego genjusza katolickiego doby obecnej, występuje z całem uwypukleniem w tej sylwetce barwnie skreślonej. — Wnuk racjonalisty niedowiarka Renana jest postacią nadzwyczaj zajmującą dla dzisiejszych ludzi, często jak on szukających Boga. — O nim piszą, że modlił się już wtedy, kiedy jeszcze nie wierzył. — „prosił Boga o dar wiary i zyskał ją". —

X. Żychliński. Pełnia umiejętności Świętych. Temat dziś szeroko omawiany i rozważany, aby dojść do umiejętności świętych w życiu codziennem, nie używając nadzwyczajnych atrybutów, lecz tylko zwyczajnych środków pobożności i pełniąc wolę Bożą w codziennych obowiązkach. W te tajniki wprowadza nas miła — mała książeczka

Ks. Dr. Borss. — Myśli św. Augustyna. Dyrektor Naczelnego Instytutu Akcji Kat. na całą Polskę nie mógł zastępom katolików głęboko myślących i w czynie zaangażowanych dać lepszego doradcy, jak św. Augustyna.

Ten który wypowiedział śmiałe słowa i według których po nawróceniu życie swe skorygował „Kochaj i czyń co chcesz", naprawdę każdą myśl swą skierowywał do Boga — przedmiotu swej miłości. Toteż zebranie tych „Myśli" skoordynowanie ich na poszczególne tematy, było wielkiem dziełem uzewnętrznionem w małej — wygodnej do użycia broszurce.

Tachnicki. Myśli św. Bernarda. — Nie mniej cenną pracą została oddana do użytku naszej elity duchowo-umysłowej w świecie katolickim, to drobna i niepozorna książeczka z myślami św. Benedykta.

Zapoznanie się z „Myślami" jednego z większych genjuszów XII wieku zbliża do niego i odpowiada potrzebom ludzi dzisiejszych. — Czasy oddalone ale duch i wewnętrzne tęsknoty człowiecze są zawsze te same.

Ks. Dr F Sawicki: Dusza nowoczesnego człowieka". Sam tytuł mówi nam wiele i wskazuje, że warto wziąć tę książkę do ręki. Jak wynika z przedstawienia Ks. Dr. Sawickiego dobrze się nie dzieje z tą „duszą", ale nie należy bezwładnie opuszczać rąk i należy szukać środków, aby błędnym zasadom przeciwstawić religię katolicką zastosowaną do potrzeb dzisiejszego człowieka. Dzięki wielkiej wnikliwości autora i jego objektywizmu można się zorjentować w potrzebach dzisiejszej ludzkości, a zatem i środki zaradcze do naprawy same się wyłonią.

O. Jacek Woroniecki: „Pełnia modlitwy", Wydanie II. (2·50). Czytając to zajmujące studjum czytelnik zrozumie, jak modlitwa jest bardzo dostosowaną do wysokiego intelektualizmu, jaki dzisiejszy człowiek przeżywa. Autorowi wybitnie chodzi o to, aby modlitwę wciągnąć w sferę nieodzownych obowiązków człowieka. Usunąć uprzedzenia o modlitwie, sprostować mylne pojęcia o niej, wskazać proste i łatwe sposoby modlitwy. — oto myśl przewodnia książki.

Skarbczyk domowy. Ukazują się stopniowo bardzo praktyczne broszurki po przystępnych cenach od 60 gr. do 1·20 Wprowadzą do naszych rodzin więcej wiadomości i wskazówek praktycznych, a tyle rad w dzisiejszym kryzysie nigdy nie za dużo:

Lach — 100 dodatkowych zajęć (1·20 zł.)
Przyrębianka — Kwiaty na codzień (1 zł.).
Schechtlówna — Wyrób nektarów (60 gr).
„ „ miodów (80 gr.).
Jaroszyńska — 100 nowych powinszowań (70 gr).
Stypianka — 77 najciekawszych pasjansów (1 zł)

Eugenjusz Porębski: — „Technika w gospodarstwie domowem". (2 zł.). Nakład św. Wojciecha). Brak zmysłu praktycznego, nieumiejętność zastosowania wiedzy do techniki życia są znamienne u dzisiejszej młodzieży Bibljoteka: „Młodego Technika" chce tym brakom zaradzić. Pierwszy jej tomik porusza zagadnienie, jak zużytkować gaz, wodę i elektryczność, jak je wyzyskać i samemu w razie uszkodzenia do funkcjonowania przyprowadzać.

Ponadto nadesłano nam z tego samego wydawnictwa:

Haberman. Poradnik dla młodego technika (zł. 1·80).
Zalk Kajak Szkolny (zł. 1·60)
Verax — Masonerja.
Liguori. O miłowaniu Pana Jezusa. Wyd. III.
Postacie świętych — broszurki po 30 gr.

Św Elżbieta, św Teodor, św Jan Chryzostom, św. Andrzej Bobola, św. Krzysztof, św. Dominik, św. Michał, św. Róża z Limy, św Barbara. O tem wydawnictwie bardzo cennem pisałyśmy swego czasu na łamach „Dziś i Jutro".

Dla naszych pracowników społecznych, których obecnie nie zbywa i wśród młodzieży szkół średnich podajemy szereg nowych wydawnictw **„Ostoja" w Poznaniu** Pocztowa 15.

W pracy nad młodzieżą pozaszkolną największe usługi oddają wieczornice, komedyjki itd. tego samego wydawnictwa

„Chrystus zwycięża!" Jest to pieśń gregorjańska mało rozpowszechniona a piękna. Pieśń ta nadaje się do odtworzenia zarówno w czasie uroczystości religijnych, i w czasie nabożeństwa w kościele.

Odpowiedzi od redakcji.

J. Bilwinówna. W związku z naszą korespondencją wakacyjną wybrałam następujące tematy: 1) Polacy zagranicą 2) Harcerstwo jako czynnik jednoczący narody. 3) Sport zimowy 4) Jednostka w państwie i społeczeństwie. 5) Udział Polaków w zdobywaniu świata. 6) Okno na świat. 7) Propaganda idei społecznej.

„Neoza" Lwów — Milutkie! Ale jeszcze nie do druku. — Radzę dalej pracować — Z życia wydobywać jego piękno i radość i tem opromieniać tych, którym tego brak.

P. Ogronostajska Szczerze współczujemy z naszą drogą współpracowniczką — Będę w połowie października w Warszawie i nie omieszkam zaprosić na konferencję redaktorską. —

P. Z. Za piękny wiersz tak pełen bólu serdecznie dziękujemy — Komitet Redakcyjny pozwala sobie tą drogą przesłać swemu Współpracownikowi wyrazy najszczerszego współczucia.

Prof. Szafer. Niestety odezwa odesłana do naszej Redakcji została przeoczoną do numeru wrześniowego, obecnie sprawa już nieaktualna — Nie mniej bolejemy nad takim przebiegiem rzeczy, bo rada Ochrony Przyrody ponosi nieodżałowaną stratę z ustępowaniem Pana Profesora.

D. Lublin Wiesz Danko, że ładne są obi Twoje wiersze, ale niestety nasz Komitet Redakcyjny jest bardzo surowy i nie przepuścił ich jeszcze. Pisz dalej śmiało, a może w niedalekiej przyszłości ujrzysz się wydrukowaną Oryginalne myśli zawiera szczególnie wiersz „Listy" —

D. A. Lublin. Pisz śmiało — dalej — wytrwale — nie zrażaj się tem, że jeszcze nie wydrukowano Twoich wierszy — Ale masz żyłkę poetycką — Spróbuj nowoczesnej formy. Czas wolny od nauki poświęcaj czytaniu wzorowych poetów.

P. Morsztynowa. Prosimy kolejno opracowywać dalszych autorów i poetów od grudnia począwszy. W sprawie poruszonej w liście — ustnie pomówimy. Listopadowy numer nie wypełniony.

J. Unkiewicz. Czy upadł całkowicie projekt „Okna do okna"? Czekamy na zrealizowanie go.

„Wiesława" o śp. Romanowiczównej umieścimy w listopadzie.

P. Mroczkowski Manuskrypty nadeszły po oddaniu do druku. Osąd pozostawiamy do gruntownego przeczytania, na który brakło czasu

P. Stokowska Sprawa X... leży mi bardzo na sercu. Wzięłyśmy dosłownie, czekamy na owoce dobrego postanowienia. Może się zobaczymy w Warszawie skoro w Rokicinach nie udało się spotkanie.

Z. V Poznań. Nie odpisywałam czekając na obiecany materjał już przez kogoś innego — Ponieważ są jeszcze braki w przedstawieniu omówionej sprawy, proszę o obiecany artykuł. Temat już nieaktualny.

SPROSTOWANIA:

Nr. 1. Na str 3. w **wierszu** „Tatrańska baśń" **linja 9-ta ma być** „Lecz nie z gór ułudy chłonął chwile. **linja 11-ta ma być „zakuł"** a nie „zakół". **Na str. 11-tej**. opuszczono po linji 8-mej lewa szpalta od góry słowa „Jego zwycięstwa i jego wartość wychowawczą".

Wynik konkursu.

Ogłaszamy niniejszem, że nagrodę za największą ilość abonentów w szkole w stosunku do ilości uczenic otrzymały:

I nagroda gimn 523 w Lublinie II nagroda gimn. 440 w Krakowie i 643 we Lwowie.

Ponieważ jednakową ilość punktów osiągnęły oba gimnazja 440 i 643, zatem nagroda w formie książek do bibljoteki szkolnej pozostanie rozdzielona na równe części

Prosimy wszystkie szkoły abonujące większą ilość egzemplarzy podać nam jaka ilość egzemplarzy jest abonowana w poszczególnej klasie podając ilość uczenic. — Będzie to dalszą rozgrywką o nagrodę klasową.

Nowy konkurs.

Niniejszym ogłaszamy konkurs na artystycznie wykonane projekty do okładek „Dziś i Jutro" na przeciąg całego roku t. j do Nru 3, 4 5 6 7. 8 9. 10. Można dowolnie wybrać temat i motyw, a także ilość nadesłanych projektów pozostawiamy do woli. Każdemu ubiegającemu się przyznajemy dwie nagrody I-sza to użycie okładki, II — książka. Rozdzielimy 8 nagród, t. j za każdy miesiąc jedną Termin nadesłania do 1 grudnia b. r. Wynik konkursu zgłosimy z końcem roku.

TREŚĆ N-ru 2-go:

WARUNKI PRENUMERATY: ROCZNIE 6 Zł.

Numer pojedynczy 0·60 zł.

Konto P. K. O.: „Dziś i Jutro", Nr. 404.93?.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor:

Zofja Zakrzewska.

Adres Redakcji; Kraków. ul. Starowiślna 11.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.